

**DOMAŃSKA**  
**ANTONINA**

HISTORIA  
ŻÓŁTEJ  
CIZEMKI

Domańska Antonina  
**Historia żółtej cizemki**

«Public Domain»

## **Antonina D.**

Historia żółtej cizemki / D. Antonina — «Public Domain»,

Wawruś Skowronek to kilkuletni chłopiec ze wsi Poręba. Uwielbia rzeźbić w drewnie figurki, ale w rodzinnej wsi nikt nie rozumie jego pasji. Pewnego razu zajęty rzeźbieniem nie dopilnował krów, które weszły na pole proboszcza i zdeptały jego zboże. Ścigany chłopiec szybko zgubił się w lesie, skąd trafił do miasteczka. Tam spotkała go pierwsza przygoda — był świadkiem kradzieży w kościele. To wydarzenie rozpoczęło ciąg przygód, a także spotkania z takimi ważnymi osobistościami jak Jan Długosz, Wit Stwosz czy Kazimierz Jagiellończyk... Historia żółtej cizemki to najsłynniejsza powieść Antoniny Domańskiej. Po raz pierwszy została wydana w 1913 roku, a zekranizowana w 1961 roku. Antonina Domańska zasłynęła jako autorka powieści i opowiadań historycznych dla dzieci.

© Antonina D.

© Public Domain

## Содержание

1489–1867	5
W domu i w puszczy	6
Dziwny pielgrzym	18
U wiłów	27
Konik zwirzyński	37
Конец ознакомительного фрагмента.	41

# Antonina Domańska

## Historia żółtej cizemki

1489–1867

Cenny klejnot starego Krakowa, chluba Polski, arcydzieło mistrza Wita Stwosza<sup>1</sup> i pomnik jego chwały – wielki ołtarz w kościele Panny Marii, fundowany przez bogate mieszczaństwo krakowskie w r. 1489, chylił się ku upadkowi.

Blisko cztery wieki rzeźba ta przewspaniała zajmowała najcenniejsze miejsce w świątyni, blisko cztery wieki opierała się niszczącemu wpływowi czasu, wreszcie uległa.

Oto co powiada sprawozdanie dozoru kościoła Panny Marii z r. 1867:

„...od chwili gdy się przekonano o groźnym stanie ołtarza, zajęto się bezzwłocznie szukaniem środków uratowania go dobrze obmyśloną restauracją. Imiona Piotra Michałowskiego<sup>2</sup> i Karola Kremera<sup>3</sup> wiążą się z tą myślą. Oni pierwsi badali stan i przedstawiali środki. A choć nie doczekali szczęśliwej chwili rozpoczęcia pracy, za pobudzenie i nawoływanie do niej cześć ich pamięci!”

Komitet restauracji wielkiego ołtarza składał się, prócz stałych członków dozoru kościelnego, z następujących mężów: prof. Czyrniański, pr. Dunajewski, W. Eliaz, P. Filippi, ks. Grzybowski, prof. Kuczyński, prof. J. Kremer, H. Kieszkowski, M. Kukalski, J. ks. Lubomirski, prof. Łepkowski, P. Popiel, F. Paszkowski, F. Pokutyński, E. Stehlik, H. Seredyński, ks. Wilczek.

Przytaczam dalej słowa sprawozdania:

„...przystąpiono do zupełnego rozebrania ołtarza, do wyjęcia wszelkich rzeźb i ornamentyki, kawałek za kawałkiem. Wtedy to ruszyła się przez wieki nagromadzona ilość kurzu, znalazły się ważne odłamki, znalazł się osnuty pajączyzną trzewik średniowiecznego robotnika, zgubiony przed 400 laty...”

Wielki ołtarz, odnowiony i zabezpieczony gruntownie przed zniszczeniem na dalsze setki lat, służy znów Bożej chwale, zachwyca oczy i serca patrzących, głosi sławę nieśmiertelną mistrza Wita Stwosza.

Znaleziono za ołtarzem trzewik, żółtą cizemkę... Skąd się tam wzięła? Do kogo mogła należeć? Czy był rzemieślnikiem człowiek, co używał safianowego obuwia? Czy umyślnie rzucił trzewik za ołtarz? Ale dlaczego? Czy dorosły mężczyzna mógł mieć taką małą stopę? A może to był chłopiec? Może to było dziecko?

Odkąd przeczytałam zagadkowy ustęp sprawozdania i oglądałam żółtą cizemkę, niepokoiliły mnie<sup>4</sup> te myśli, szukałam na nie odpowiedzi...

---

<sup>1</sup> *Wit Stwosz* (ok. 1448–1533) – niemiecki rzeźbiarz, grafik i malarz, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli późnego gotyku w rzeźbie. Mieszkał i pracował w Krakowie w latach ok. 1477–1496. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *Michałowski, Piotr* (1800–1855) – malarz, organizator życia społecznego i gospodarczego, uczestnik powstania listopadowego. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *Kremer, Karol* (1812–1860) – architekt krakowski. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *mię* – dziś popr.: mnie. [przypis edytorski]

## W domu i w puszczy

„Już nigdy nie będę!” – Co przeżył i kogo znał organista Walanty. – Dokąd można zajechać na drewnianej jaszczurce. – Zabłąkany w puszczy. – Pieśń wieczorna wilka.

– O mój tatusiu, mój złocisty... nie bijcie! Jeszcze mi ten ostatni raz darujcie! Juz<sup>5</sup> nigdy, a nigdy, a nigdy nie będę!

– Co dzień obiecujesz, co dzień bicie bierzesz, końca temu nie ma! – krzyknął z gniewem ojciec, trzymając chłopca za kołnierz u koszuli, a oglądając się za rzemykiem.

– Ady<sup>6</sup> mu przecie wybaczyć, kiej<sup>7</sup> tak święcie przyrzeka – wstawiła się matka, odsuwając garnek z jagłami<sup>8</sup> od ognia. – Takiś zawzięty na ono<sup>9</sup> dziecko, a Bogiem i prawdą nie ma o co. Mały jest, to się i bawi; cóż ci wadzi, że se ta kozikiem w deszczuleczce dłubie? Sprzykrzy mu się, rzuci, ano za tydzień będzie nowa zabawka.

– A ile razy do kości palce pozacinał i nie rzucił noża? Skórę prać rzetelnie, to może usłucha. Gdzie postronek<sup>10</sup>?

– Puść go! Mówię ci po dobroci; obiadować<sup>11</sup> pora. Wawrzuś, przysuń tatusiowi ławę.

– Zawdy<sup>12</sup> musi być babskie na wierzchu – mruknął Wojciech.

Usiedli wszyscy troje za stołem i jedli w milczeniu. Pokrzepiwszy się, gospodarz zwrócił się znowu do synka i mówił już spokojnie:

– Pamiętajże se, coś sam powiedział: „ostatni raz”. Chłoposko<sup>13</sup> dziewięci<sup>14</sup> lat sięga, a bydłatku nie da rady. Wygoń wszystkie trzy na pastwisko, a dawaj pozór<sup>15</sup>, coby<sup>16</sup> ci znów która nie uciekła. Mam co lepszego do roboty, jak za krowami po boru biegać. No, idź.

Wawrzek wyskoczył z chałupy uszczęśliwiony, że dzięki matusi ominęła go kara, i pełen jak najlepszych postanowień, pomaszerował z krowami na łąkę. Wojciechowa pomyślała statki<sup>17</sup> i zasiadła przed warsztatem tkackim, z którego już spory kawał szarego płótna aż do ziemi zwisał. Największą jej dumą było, że jak Poreba Porebą, żadna gospodyni tyle lnu nie siała, tyle nici nie przędła, tyle płótna nie tkala, co ona. Wzięła się więc ochoczo do roboty, ino<sup>18</sup> raz na jakiś czas pociągając sznurek od podłużnego kosza, zawieszono go na hakach u powały. W tym koszu spało jej najmłodsze dziecko, trzymiesięczna Kondusia. Siedmioletnia Marysia uciekała raz wraz do „babusi”, a rodzice nie bardzo jej tego bronili, bo matka Wojciecha, zgrzybiała staruszka, potrzebowała i posługi, i rozweselenia, a Marysię okrutnie lubiła.

<sup>5</sup> *jeszcze... juz* (gw.) – jeszcze, już; w wielu gwarach polskich występuje zjawisko mazurzenia, tj. wymowy głosek „cz”, „ż”, „sz”, „dz” jako „c”, „z”, „s”, „d” (mazurzeniu nie podlega „rz”). [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *ady* a. *dyć* (daw.) – przecież, właśnie, ale. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *kiej* (gw.) – kiedy, skoro. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *jagły* – kasza. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *on, onego* (daw.) – ten, tego a. on, jego; tu B. lp r.n. ono: to. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *postronek* – sznur. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *obiadować* (daw.) – jeść obiad. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *zawdy* (daw.) – zawsze. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *chłoposko* (gw.) – chłopisko, chłopaczysko. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *dziewięci* – dziś popr.: dziewięciu. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *dawać pozór* – zwracać uwagę, pilnować. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *coby* (gw.) – żeby. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *statki* – tu: naczynia. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *ino* (gw.) – tylko. [przypis edytorski]

Wojciech nasadził na głowę białą sukieną czapę, poprawił rzemyki u postoiów<sup>19</sup>, przystanął chwilę we drzwiach, jakby się namyślając, wreszcie zawrócił w prawo i poszedł ku wsi.

– Juści<sup>20</sup> tak najlepiej – mówił do siebie półgłosem – do samego proboszcza nie pójde, gdziebym ta śmiał zaprzętać głowę jego wielebności tym nicponiem. Walantego się poradzę albo i Pietra. Organista, kościelny, uczone osoby, na każdej księżce znają czytać, prędzej umiarkują niż ja, co by za leki skuteczne były na Wawrzkową chorobę. Ale gdzie onych szukać? Walantowa herod-baba, stary ucieka z domu, kiej ino może; pewnikiem zemknął do Pietra i miód se oba pociągają.

Słusznie się Wojciech domyślał: organista i kościelny siedzieli w sadzie na darniowej ławie pod rozłożystą jabłonią, kamionka<sup>21</sup> z miodem i cynowe kubki przed nimi.

– Niech będzie pochwalony... witajcie, kumotrowie! – rzekł kmieć, podchodząc ku nim.

– Na wieki wieków – odparli razem, a gospodarz dodał: – Siadajcie wedle<sup>22</sup> nas, Wojciechu; Jaguś... jeszcze jeden kubek! Jakże tam u was, wszystko zdrowe?

– Dziękować Panu Jezusowi, krzepimy się jako tako – odpowiedział gość i usiadł na zydlu przyniesionym przez córkę gospodarza.

Mówić o interesie zaraz po przywitaniu uważane jest na wsi za wielką nieprzyzwoitość i brak wychowania; tak samo pojmowano grzeczność i przed wiekami. Dlatego też Wojciech ani wspomniał, z czym przychodzi, owszem, przeprosił przyjaciół, że im przerwał rozmowę.

– A o czymże pogwarka? – spytał Piotra.

– Spominamy<sup>23</sup> se stare dzieje – odparł kościelny – raczej Walanty opowiada, a ja słucham. Człowiek to niemal na pamięć umie, a nigdy mu się nie znudzi, zwłaszcza od naocznego świadka słyszeć.

– O czymże takim?

– Sprawiedliwie gadają Piotr<sup>24</sup>; rozmawialiśmy o bitwie pod Warną<sup>25</sup>.

– O moiściewy<sup>26</sup>... nie przerywajcież sobie; toć i ja strasznie bym rad usłyszał, jak to było. Na wsi ludzie niewiela<sup>27</sup> wiedzą o świecie, prawdę rzec, a nie zełgać, nawet nie ciekawi; a już co nasza Poręba, to prawie jak za murem. Puszczą niezmierną od zachodu słońca i od północy, rzeka nas opływa w półkole, w ciężkiej robocie rok za rokiem przemija, człek się rodzi, żyje i umiera, nieświadomy niczego. Jeszcze łaska boska, jeżeli zna imię najmiłościwszego króla. Ach, gadajcie, gadajcie... serce mi z ciekawości młotami bije.

– Juści trudno, żebyście co z onego czasu zapamiętali – rzekł organista – ani was może na świecie jeszcze nie było.

– A ileż ta temu będzie? – spytał Wojciech.

– Czekajcie, zaraz wyrachujemy. Miłościwy król Władysław<sup>28</sup> dwadzieścia lat miał, gdy zginął w onej strasznej bitwie. Za wielką chlubę i cześć sobie poczytuję, że w jednych obaśmy leciech<sup>29</sup> byli: dlatego też łączniej<sup>30</sup> mi to wyliczyć. Tedy dziś mamy... dziś mamy... rok pański... Pieter?

– Tysiąc czterechsetny siedemdziesiąty dziewiąty.

<sup>19</sup> *postoi* – obuwie z łyka (łapcie) a. ze skóry zwierzęcej (skórznie). [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *juści* (gw.: już ci) – oczywiście, rzeczywiście, w istocie. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *kamionka* – gliniane naczynie. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *wedle* – obok, przy. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *spominać* (daw.) – wspominać. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *Sprawiedliwie gadają Piotr* (gw.) – Piotr mówi prawdę. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *o bitwie pod Warną* – Szczegóły historyczne o bitwie pod Warną wzięte z *Kroniki* Bielskiego. [przypis autorski]

<sup>26</sup> *moiściewy* (gw.: moiście wy) – zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *niewiela* (gw.) – niewiele. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *Władysław III Warneńczyk* (1424–1444) – syn Władysława Jagiełły, król Polski (1434–1444) i Węgier (1440–1444). [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *leciech* (daw.) – dziś popr. forma Ms. Im: latach; w jednych leciech: w tym samym wieku. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *łącznie* (daw.) – łątwo. [przypis edytorski]

– Juści, prawiuteńko się zgadza, bo mi się na pięćdziesiąty szósty obróciło<sup>31</sup>. Zatem, jak raz trzydzieści pięć lat temu będzie w dniu dziesiątym listopada.

– Prawdę gadacie, że mnie na świecie nie było, bo mi się skończy w żytnie żniwa trzydzieści cztery roki<sup>32</sup>. Ale co ta o mnie, powiadajcież od początku. Pietrowi ta wszystko jedność, kiej zna<sup>33</sup>, jak było, a ja nie.

– A więc posłuchajcie: Jak się miłościwy pan gotował na oną wyprawę, wszystkie narody i wszyscy monarchowie radowali się, że mieczem polskiego króla moc turecka zostanie na proch zgnieciona. Węgierskie wojsko pod dowództwem, jakże mu to było... aha... Huniad<sup>34</sup>, wojewoda siedmiogrodzki. Więc Węgrzy, Siedmiogrodziany<sup>35</sup> i nasi, a nad wszystkimi hetmanem nasz młody król, Władysław. Ale się miłościwy pan gryził niesłychanie, że tak niewiele miał wojska: ino dwadzieścia tysięcy. A o Turkach gadano, że się ich zebrało tysięcy<sup>36</sup> sto, tedy pięć razy tyle, co naszych.

Walenty łyknał miodu i prawił dalej:

– Mnie wzięto między ciury<sup>37</sup>, do posług, alem się wyprosił u jednego starszego i pozwolił mi, jak przyjdzie do bitwy, iść z łucznikami.

– A umieliście się z kuszą obchodzić?

– Byli już tacy, co nauczyli – odparł organista – a nauczyli niezgorzej, bo w kilku potrzebach<sup>38</sup> człek posłał pohanów<sup>39</sup> do piekła diabłu na pociechę z pół kopy<sup>40</sup>, jeśli nie więcej. Idzie tedy chmara ludu, wszystko zbrojne, wyćwiczone, a takie łakome krwi tureckiej, niczym wina. Po drodze zamki bez wiela kłopotu zdobywają nasi, gdzie niektóre ze strachu same się poddają, a my ino naprzód a naprzód. Trzeciego dnia października miesiąca przepawiliśmy się przez Dunaj. Aż tu przyjeżdża z cztery tysiące<sup>41</sup> wojska Dragula, wojewoda wołoski<sup>42</sup>. Odradzał on strasznie naszemu miłościwemu panu tę turecką wyprawę; aż płakał pono. Wreszcie syna własnego z onymi czterema tysiącami przy królu zostawił, a sam do dom powrócił. Młodym wtedy był<sup>43</sup>, niczego nie rozumiejący, ani mnie o to głowa nie bolała, kędy<sup>44</sup> nas wiodą, szedłem jak baran za inszymi, za łaskę to sobie mając, że mnie, chudzinę, biednego ciurę, choć czasem między żołnierstwo wetkną. Pod jednym zameczkiem tom się tak siepał, tak dokazował<sup>45</sup>, aż mnie rotmistrz zauważył i w nagrodę przeznaczył do posług miłościwego pana.

– O Jezu... toście go mogli z bliska oglądać?

– No jakże? Ma się wiedzieć, żem się temu cudnemu obliczu do syta napatrzył... Ilekroć wspomnę o tym wszystkim, to go jak żywego przed sobą widzę.

<sup>31</sup> *mi się na pięćdziesiąty szósty obróciło* (gw.) – skończyłem pięćdziesiąt sześć lat. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *roki, roków* (gw.) – lata, lat. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *znać* (gw.) – wiedzieć. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *Huniad* – właśc. Jan Hunyady (1387–1456), magnat węgierski, wojewoda siedmiogrodzki, po śmierci Władysława Warneńczyka regent Węgier, sprawujący władzę w zastępstwie czteroletniego nowego króla. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *Siedmiogrodziany* – dziś popr. forma M. lm: Siedmiogrodzianie; *Siedmiogród* a. *Transylwania* – kraina w środkowej części dzisiejszej Rumunii, zasiedlona w średniowieczu przez osadników węgierskich i niemieckich. W XVI i XVII w. księstwo zależne od tureckiego Imperium Osmańskiego, potem przeszło pod władzę Austrii i Węgier. Z Siedmiogrodu pochodził król Polski Stefan Batory (1533–1586). [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *tysiąców* – dziś popr. forma D. lm: tysięcy. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *ciura* – sługa obozowy, dbający o ekwipunek, konie i jedzenie dla żołnierzy. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *potrzeba* (daw.) – bitwa. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *pohaniec* (daw., pogard.) – poganin; tu: muzułmanin, Turek a. Tatar. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *kopa* – 60. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *z cztery tysiące* – dziś popr. forma: z czterema tysiącami. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *wołoski* – z Wołoszczyzny, krainy położonej w pld. części dzisiejszej Rumunii. Wołoszczyzna, rządzona przez hospodara, pozostawała zależna politycznie od Węgier i Turcji. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *młodym wtedy był* – byłem wtedy młody. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *kędy* – dokąd. [przypis edytorski]

<sup>45</sup> *dokazował* – dziś popr.: dokazywał. [przypis edytorski]

– O mój Walanty, powiadajcież, jaki był?

– Rosły był; gdy stał w polu z inszymi hetmany<sup>46</sup> w naradzie, to z daleka powiewały białe pióra na jego hełmie, pół głowy ponad tamtymi. Śniadego był ciała i czarnych włosów, twarzy pociągłej, a oczy... niczemu nie przyrównane – królewskie. Zanim usta przemówiły słowo, rozkazywały oczy. Gdy na cię spojrział, ogień i mróz cię przelatował<sup>47</sup>. A w insze razy znowu, gdy te gwiazdy łaskawie ku tobie zwrócił, to jakby głos jakiś wołał wielki: na kolana! Ilem ja razy chciał przypaść do nóg umiłowanego króla i stopy jego całować... inom nie śmiał. Przed namiotem jak pies leżeć i snu pańskiego strzec, to był zaszczyt najpiękniejszy i niejeden mi tego szczęścia zazdrościł.

Zamilkł i przymknął oczy, szukając w duszy smutnych wspomnień wątku.

– Ano, tedy szliśmy a szli, niczym burza, co po drodze drzewa łamie i z korzeniami wyrывa. Ażeśmy stanęli pod Warną<sup>48</sup>.

– Twierdza jaka czy stolica królewska?

– Miasto niewielkie nad morzem... jakimś Czarnym. Dopierośmy się tam dowiedzieli, jakie niezliczone chmary pogaństwa zgromadził sułtan Amurat przeciw nam. Zaraz po wschodzie słońca zaczęto ustawiać chorągwie według rozporządzenia królewskiego. Ja stałem przed drzwiami namiotu, nasłuchując, kiedy w dłonie kłaśnie, co znaczyło, że posługi mu potrza<sup>49</sup>... Na dany znak wszedłem, zatrzymałem się u proga i pokłoniłem się do ziemi. „Podawaj zbroję” – rzekł mi krótko. Upiąłem na nim wszystko sprawnie (już bym dziś chyba nie zdołał<sup>50</sup>, takie te sprzączki i haczyki misterne były); podaję hełm, wziął go ode mnie, aliści wyslizga mu się z rąk<sup>51</sup>, toczy się z brzękiem po ziemi. Ciary mnie przeszły, a król przeżegnał się trzy razy. Wychodzimy na pole, giermek podprowadza konia, a ten dęba staje, głową kręci, zadem rzuca, trzech go musiało trzymać, zanim dał wsiąść na siebie. Znowu mi coś serce ścisnęło jakby żelazną obręczą.

– I że też to miłościwy pan tych przestrog z nieba nie usłuchał.

– Taki był. Widno po dziadku Olgierdzie<sup>52</sup> upór odziedziczył; tamten, powiadają ludzie, srodze był twardej woli. Myślicie, że na tym koniec? Wróżka Cyganka skądśi przedarła się do obozu i na świętości zaklinała króla, coby<sup>53</sup> w pole nie wyruszał. On zaś wytłumaczył to sobie, jako oną wieszczkę Turkowie posłali, by serce we wojsku<sup>54</sup> osłabić. Może mu ta nie bardzo wesoło na duszy było, ale się ino rozśmiał i babę precz napędzić kazał. Ruszają tedy z obozu, chorąży z proporcem królewskim na przedzie; wiatr się zrywa niemały. Skręcił chorągiew około drzewca, zaczęł ją rozwinać z nagła i w trzy kawały poszarpał.

– Znak od Boga – westchnął kościelny.

– Rycerze najznamięnitsi, którzy to widzieli, nuż błagać miłościwego pana, coby swej drogocennej osoby nie narażał, a życie dla dobra ojczyzny szanował. Zmarszczył brwi, gniewny srodze, i umilkli wszyscy. Rozpoczęła się wielka bitwa, okropna rzeź. Turcy ustawili swe wojska w półkole, na podobieństwo księżycy, bo ten od nich wielkiej czci doznawa<sup>55</sup>. Pomnijcie, żem był w tłumie, w ścisłości, i czasu potykania się z Turki<sup>56</sup> jednogom ino pilnował, a to, coby moje strzały nie chybiały celu. Tego zgiełku, wrzasku, jęków, łomotu kopii uderzających o pancerze, tętentu i

---

<sup>46</sup> z *hetmany* (daw.) – dziś popr. forma N. lm: z hetmanami. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *przelatował* – dziś popr.: przelatował. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *Warna* – miasto i port nad Morzem Czarnym na terenie Bułgarii. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *potrza* (gw.) – potrzeba. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *zdolić* – zdołać, dać radę. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> *podaję hełm... wyslizga mu się z rąk* – Ten szczegół i wszystkie następne wzięte z *Kroniki Bielskiego*. [przypis autorski]

<sup>52</sup> *Olgierd* (zm. 1377) – wielki książę litewski, ojciec Władysława Jagiełły. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *coby* (gw.) – żeby. [przypis edytorski]

<sup>54</sup> *we wojsku* (gw.) – w wojsku. [przypis edytorski]

<sup>55</sup> *doznawa* – dziś popr.: doznaje. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> z *Turki* (daw.) – dziś popr. forma N. lm: z Turkami. [przypis edytorski]

rzenia koni, tego zamieszania straszliwego, na które wspomnieć niepodobna, bo się w głowie zawraca i wszelkie myślenie ustaje, tego wam nie wypowiem, a choćbym nawet zdołał, gadać o tym nie chcę.

– A król miłościwy? – rzekł Wojciech i zająknął się.

– Królam ja ani widział wśród tego ludzkiego mrowiska. Gdy się tysiące na tysiące, niczym psi wściekli, rzucają, wtedy nie pyta nikt, gdzie mu stać wyznaczono, starszyzny już całe<sup>57</sup> nie słucha, upamiętanie traci, czerwone łuny latają mu przed oczyma; o własną skórę, o życie mu chodzi, nie o co inszego. Tak było i ze mną. Czterech czy pięci<sup>58</sup> obskoczyło mnie kosookich Tatarzynów z krzywymi szablami. Boska opatrność sprawiła, że się mógł plecyma<sup>59</sup> o jakiś wóz obozowy oprzeć; miecz umarłemu rycerzowi poprzodzi jeszcze z rąk wyrwałem i w strachu niezmiernym – bom śmierć niechybną nad sobą widział, jąłem rąbać na prawo i na lewo, i przed się, ciężki oręż oburącz ściskając. A takim walił na oślep, że ino za każdym razem czułem, jako się miecz na czymś przez okamgnienie zatrzymuje... Aż tu nagle pociemniało mi w oczach, nogi drętwiąją, runąłem jak kłoda na one pogańskie cielska, którym zesiekł Panu Chrystusowi na chwałę, a sobie na duszne zbawienie.

– Jezusie, Maryjo... ranili was?

– W tym właśnie największe miłosierdzie okazało się nade mną, że ino ze znużenia i z głodu przytomność mię<sup>60</sup> na chwilę odbieżyła, bom niemal od wschodu słońca uczciwie pracowałem, a nie było czasu kęsa chleba przełknąć. Dziś, jak se wszystko do pamięci przywołuję, nic inszego w tym przydarzeniu nie widzę, ino cudowną opiekę mego świętego patrona. Bo że ja, dwudziestoletni wyrostek, pierwszy raz w życiu miecz okrutny do rąk chwyciwszy, pięci Tatarom dałem rady, to chyba nie ziemską, ino niebieską moc sprawiła. A bez<sup>61</sup> to, iżem leżałem na kupie trupów krwią ociekający, to mnie już insze psubraty nie tykały i wypocząłem se godnie. – Tylem wam opowiedział, ile oczy widziały i czym się ręce trudniły. Co więcej, to potem dopiero zasłyszałem od ludzi. Ale właśnie to **insze** leży na sercu, niczym głąz na grobie.

– O mój Walanty, rzeknijcież aby dwa słowa.

– Co mam rzec? Chociaż rycerze błagali i zaklinali króla, aby zważał na swą świętą osobę, on nie pytał na przestrogi, ino się rwał do boju niczym w tany. Gdzie największa ciżba, gdzie ino buńczuk<sup>62</sup> starszego agi<sup>63</sup> powiewał (po naszymu pułkownika), tam pan miłościwy sadził z koniem, drogę sobie trupami ścieląc. Turkowie pomiarkowali, co się święci, więc też który ino hełm o białych piórach zoczył i konia cisawego, gdy nie zdołał w bok umknąć, rzucał się twarzą do ziemi. A król Władysław, jakby się śmierci w służbę zaprzedał, krwawe żniwo czynił, sam jedną strzałą nie draśnięty. Żadne ufce<sup>64</sup> tureckie oprzeć mu się nie mogły, pierzchało wszystko w popłochu. Najwaleczniejsi spośród wojska Amuratowego byli janczarowie<sup>65</sup>, tych należało pobić i rozproszyć. Król wydał rozkaz rotom, by szły za nim, ale Huniad wojewoda za ręce go chytał, siłę nieprzyjaciela przed oczy mu stawiał, śmierć niezawodną przepowiadając. Zasię mu król odrzekł: „Wolej<sup>66</sup> zginać, niż się cofać”. I skoczył naprzód, nie zważając, jako niemal sam ostał, bo Huniady precz uciekł ze swymi. Wpadł tedy król między one janczary, baszę<sup>67</sup> azjatyckiego, który tam się był skrył, usiekł i parł koniem w nieprzeliczoną gąszcz pohańców, pewny, że wojsko tuż za nim. Tymczasem janczarowie ochłonęli co nieco, a widząc, jak się król niebacznie zapędził, obskoczyli

---

<sup>57</sup> *cale* (daw.) – wcale, zupełnie. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *piąci* – dziś popr.: pięciu. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *plecyma* (daw. forma liczby podwójnej) – plecami. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *mię* – dziś popr.: mnie. [przypis edytorski]

<sup>61</sup> *bez* (gw.) – przez. [przypis edytorski]

<sup>62</sup> *buńczuk* – długie drzewce ozdobione włosiem końskim, symbol władzy wojskowej. [przypis edytorski]

<sup>63</sup> *aga* (tur.) – dowódca janczarów, tj. piechoty tureckiej (dziś tur. tytuł grzecznościowy: pan) [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *ufiec* – hufiec, oddział. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *janczarowie* (z tur.) – piechota turecka. [przypis edytorski]

<sup>66</sup> *wolej* (daw.) – raczej, lepiej. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *basza* a. *pasza* (z tur.) – generał w wojsku tur. (dziś tytuł grzecznościowy: pan). [przypis edytorski]

go dokoła, konia pod nim ubili, po czym rzuciwszy się nań jak wilcy<sup>68</sup>, ucieli mu głowę. Tę wsadzić kazał basza na wysokie drzewce i z tryumfem do namiotu sułtana ją zanieiono. Garstka naszych, co była przy królu, zginęła walecznie, broniąc pana. Polegli dwaj bracia Tarnowscy, dwaj Zawiszowie i inne rycerze. Taki był koniec bitwy pod Warną.

– Oj, dziękuję wam też, dziękuję, mój Walanty; niech wam Pan Jezus dobrym zdrowiem zapłaci, żeście nieumiejącego oświecili. A jakże z wami potem było?

– Ano, ślubowałem świętemu patronowi za jego łaskę i cudowne od psich synów ocalenie, że Panu Bogu w duchownym stanie do śmierci już służyć będę. Ale widno nie na księdza mnie Pan Jezus stworzył, bom się w Krakowie do szkoły parafialnej u Panny Maryi dostawszy, ino czytania i pisania dokumentnie nauczył. Zasia łacina szła jak z kamienia. Ani wymówić, ani wyrozumieć – jednym słowem nie dało się i tyła. Gryzło mnie sumienie bez przestanku i strach serce uciskał, że obietnicy świętemu Walentemu danej i ślubu nie dotrzymuję, za co na tamtym świecie jako wiarołomca wiecznie gorzeć będę. Aż nie mogąc wytrwać dłużej w takowej turbacji, zwierzyłem się jego miłości bakałarzowi. Ten się aż za głowę chycił, mniemając wraz ze mną, że bez nijakiego wątpienia Pan Jezus mnie grzesznika piekłem skarże. Ale na wielkie moje szczęście natchnął go stróż anioł dobrą myślą. „Idź no, Waluś – powiada – na przełaj przez rynek na Żydowską ulicę. Wiesz kędy?” – „Za matoła mnie, wasza miłość, trzymacie – gadam – po śpiączku trafię; dyć<sup>69</sup> dziesięć miesięcy minęło, jakem tu zaszedł; do Krakowam drogi nie zmylił, a Żydowskiej ulicy bym nie znał. Kościółek Św. Anny drewniany na góreczce tam stoi, a tuż śmiećisko straszne... Czy o tę ulicę waszej miłości chodzi?” – Śmiećisko zauważył, mądrało, a *Collegium Maius* wiesz gdzie?” – „Jakie kolegium?” – gadam ja. – „Ot, żeś matoł – gada on. – Akademia przez króla Jagiełłę fundowana, a przez królowę Jadwigę wyposażona”. – „Juści, gdzie Akademia, to wiem; ale jakosi inaczej mówiliście” – gadam ja. – „Sprawiedliwie cię piekło czeka – gada on – dwóch słów łacińskich nie spamiętasz, a święte kapłaństwo Bogu najwyższemu ślubujesz. Idźże tedy do onego gmachu Akademii, a o profesora, przewielebnego księdza Jana z Kęt<sup>70</sup> pytaj”.

– Jak to – zakrzyknął Wojciech, przerywając mowę organiście – o tym Janie z Kęt powiadacie, co go cały naród świętym głosi? Którego grób cudami słynie?!

– A juści; jego błogosławioną osobę miałem łaskę od Boga własnymi oczami oglądać, jego dobrotliwej mowy słuchać.

– A cóżeście za szczęśliwiec taki! I pana miłościwego znał, królewskiej osobie posługował<sup>71</sup>, w bitwie pod Warną Tatarów siekł i jeszcze wielkiego świętego w żywym ciele oglądał!

– Ano słuchajcie, co się dalej działo. Więc mnie uczy bakałarz, jako mam przewielebnemu profesorowi niziutko się pokłonić, całą przygodę pod Warną i ono ślubowanie uczciwie, przez wykrętów opowiedzieć i o radę prosić. „Coć rozkaże – gada – tak uczynisz; mąż to świątobliwy a wielkiej mądrości, pewnikiem zdoli rozwiązać ten węzeł i twoje sumienie uspokoić”.

– Ady popłuczcie se gardło, Walanty – rzekł Piotr, nalewając kubki po brzegi. – Wasze zdrowie!

– I wasze! – Tręcili wszyscy trzej kubkami, a organista kończył swe opowiadanie:

– Wszystko się tak stało, jako mi ów zapowiedział. O moiściewy... słusznie on święty po śmierci niebieskie pałace zamieszkuje, gdy za żywota w komóreczce ciasnej a ciemnej niczym więzień przebywał. Wchodzę do onego *Collegium Maius*, o profesora Jana z Kęt pytam; wskazują mi drzwi w sieni na dole; izdebki malutkie, jedna do modlenia, a druga mieszkalna. Próbuję, ino na klamkę zawarte, nie ma nikogo. Siedział w sali na górze, w księgach mądrości zaczytany. Janitor, co znaczy odźwierny, zaprowadził mnie i przez<sup>72</sup> pytania wpuścił; miał bowiem surowo nakazane każdego

<sup>68</sup> *wilcy* – dziś popr. forma M. lm: wilki. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> *dyć* a. *ady* (daw.) – przecież, właśnie, ależ. [przypis edytorski]

<sup>70</sup> *Jana z Kęt* a. *Jan Kanty* (1390–1473) – święty Kościoła katolickiego, ksiądz, wykładowca Akademii Krakowskiej. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> *posługować* – usługiwać. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *przez* (gw.) – bez. [przypis edytorski]

potrzebnego<sup>73</sup> albo proszącego przed jego przewielebność prowadzić – wtedy wszedłem i Pana Jezusa pochwaliwszy, cicho u proga stanąłem. Przywołał mnie k'sobie<sup>74</sup>, wysłuchał łaskawie i pomyślawszy nienajdłużej, srogie utrapienie moje całe załagodził.

– W jakim sposobie? – spytał Wojciech ciekawie.

– Ano, podsunął mi księgę rozwartą i kilka wierszy głośno przeczytał; za czym dał pióro, papier i czarkę z inkaustem i całą Modlitwę Pańską musiałem z pamięci napisać. Pochwalił, że nie darmo do szkoły chodzę, potem zasie tak rzecze: „Nie twojać to wina, że do łańskiegiu języka głowy nie masz; trudna to nauka i pierwszemu lepszemu nieprzystępna. Że zasie do sakramentu kapłaństwa droga ino przez łańskie wrota, znak przeto z nieba jest widomy, że cię Pan Jezus sam ze ślubu zwalnia. Jeżeli ano chcesz mimo wszystko za ocalenie życia Mu odśługować, masz wiele inszych k'temu<sup>75</sup> sposobów”.

Nie będę się rozwodził, jako dalej ze mną gadał, trzydzieści pięć lat mija, to i z pamięci wyleciało niejedno. Dość że mnie zaprowadził do sławnego na cały Kraków muzykusa, co w katedralnym kościele przy świętym nabożeństwie na chórze grywał, i kazał mi<sup>76</sup> uczyć na organach. Sam płacił onego nauczyciela.

– O retyści... z deszczu pod rynnę! – zawołał Wojciech.

– Zabawka to w porównaniu z łaciną – odparł organista. – Po prawdzie rzekłszy, blisko trzy lata zeszło, zanimem się ze wszystkimi pedałami i kluczami zapoznał, nuty czytać nauczył, a i palce, twarde jak patyki, koślawo stukały po klawiszach. Ale dziękować Bogu, już ta bieda przeminęła od świętej pamięci, a dwudziesty ósmy rok w Porębie organistą jestem. Ino w jednej rzeczy zmylił świętobliwy profesor.

– Cóż takiego?

– Trzeba było ślubowanie choć w połowie spełnić i w beżennym stanie do śmierci pozostać... Ha, darmo, wymigał się człek od piekła, niechże znosi czyściec. Macie ta jeszcze kapkę miodu, kumoter? Na zdrowie wam!

– I wam!

– I wam!

Wojciech odchrząknął, poskrobał się po głowie i westchnął.

– Wola boska; nie ma kącika, gdzie by nie było krzyżyka...

– Chyba do was się ta przypowiastrka nie stosuje? Macie kobiety zdrową, pracowitą, spokojną; dobytek piękny, dzieci.

– Ot właśnie...

– Cóż takiego?

– Utrapienie z brzdącem...

– Wawrzus?

– A ino.

– Stało mu się co? – spytał Piotr.

– Stać to mu się po prawdzie nic nie stało... ino jak Walanty do Jana z Kęt, tak ja do was obu przychodzę rady szukać.

– Ho, ho, mnie ta nie wzywajcie, chyba o Kondusię będzie chodziło – odezwał się ze śmiechem organista – ona moja chrześnica, do Wawrzka mi nic.

– Ee... wiadomo, że co dwie głowy, to nie jedna. Słuchajcież oba i powiedzcie, co się wam zda.

– Słuchamy pilnie. Wasze zdrowie, kumie!

– Ano tedy, żeby prawdę rzec, a nie zełgać, wielką mam troskę, bo mi cosi chłopaka urzekło.

---

<sup>73</sup> *potrzebny* – tu: potrzebujący. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *k'sobie* (daw.) – do siebie. [przypis edytorski]

<sup>75</sup> *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

<sup>76</sup> *mię* – dziś popr.: mnie. [przypis edytorski]

- Ale, hale... nie może to być; któż by taki na ten przykład?
- Przecie na dziesięć mil wkoło ani jednej czarownicy nie uświadczy – powoli, z namysłem cedził Piotr. – Ostatnią wójt na Zaborówku tak rok pławić dawał, a potem ją gdziesi kajsi starościńscy do grodu na sąd powieźli. Od tego czasu nie słyhać nic.
- Ino wam się zwiduje czy co? Jakież oznaki macie na owo urzeczenie? – zapytał Walenty.
- Kto by mu się ino raz przyjrzał, zmiarkowałby, że nieczysta sprawa.
- Powiadajcież.
- Ano, niespokojność niezmierna w rękach; ino się zerwie rano, pacierz puści na pytel, aż wstyd słuchać; jeszcze se nie pośniadał, już byle jaką trzaskę albo sęczek do ręki i rzeza kozikiem...
- Na wióry struże? A co mu po tym?
- Gdybyć na wióry, powiedziałbym: głupie dziecko, bawi się. Ale w tym właśnie widzę najpewniejszy znak urzeczenia, że jakiesi osóбки, ptaszki, pieski wyrabia i tak się zapamięta w onej głupocie, że o bożym świecie nie wie. O jadło nie prosi, gadać do niego, nie słyszy; dopiero jak zwalę pięścią w kark, to się nieco ocknie i pojrzy na mnie tak, jakby mnie pierwszy raz w życiu widział.
- Ej... co byście się trapiли po próżnicy – rzekł, machnąwszy lekceważąco ręką, Walenty – a niechże się dzieciak bawi, co wam to wadzi?
- A żebyście wiedzieli, że wadzi, nawet bardzo; dzień w dzień jakowaś szkoda albo kłopot z jego przyczyny. Cud boski, jak wszystkie krowy przyżenie<sup>77</sup> na wieczór do domu. Ot i dziś: idę do lasu zajrzeć na moje barci<sup>78</sup>, patrzę, ten niedojda siedzi na górcie pod brzozami, wiecie, tam wedle Maciejowego jęczmienia. Dłubie kozikiem biały klocek, aż drzewo zgrzypi. Podszedłem do niego tuż, zaglądam, krówka jak żywa. Ślepie, rogi, uszy, ogon krzyne w bok odrzucony, że się to niby przed muchami ogania. Powiadam wam, ażem zgłupiał. Ale za to Krasa i Gwiazdula hań, hań, aże nad rzeką, a Wiśniochę diabli wzięli. Pół dnia zbiegałem po lesie, zanimem ją odszukał.
- Wytrzepać skórę, to na drugi raz będzie uważał, taka moja rada – rzekł Piotr.
- Przecie znam ojcowskie prawo, bicia mu nie żałuję. Tyle go ino ominie, co matka mnie czasem przytrzyma za rękę. Wszystko na darmo: ja swoje, on swoje.
- Ano, nieposłuszeństwo w tym widzę i niedbałość; nijakich czarów nie uznawam<sup>79</sup> – objawił swe zapatrywania Walenty.
- Odebrać kozik, najlepsze lekarstwo – dodał Piotr. – A nie przybierajcie se byle czego do głowy, kumotrze; małe to jeszcze, przyjdą lata, przyjdzie rozum.
- Sprawiedliwie gadacie, Bóg wam zapłaci. Jednakowo, kiej pomyślę, że za osiem lat chowania pociechy nijakiej ani wysługi z dziecka nie mam... Ot, pójdę do domu... albo lepiej na łąkę, kto go ta wie, co znowu zrobił. Niech będzie pochwalony; a zajrzyjcie ta kiedy do nas.
- Na wieki wieków. Przyjdziemy oba, a jakże.
- Podczas gdy ojciec skarżył się na niedolę, że z ośmioletniego chłopaka nie ma pomocy, stary ów zbrodniarz, z sercem pełnym skruchy, prowadził tatusiowe krówki na pastwisko. Widno, szczerze postanowił się poprawić, bo w rękę tylko pręt trzymał do poganiania upartej Wiśniochy, a biedny ukochany kozik wsunął w zanadrze<sup>80</sup>. Gdy go używać zabroniono, a patrzeć nań pokusą jest do złego, błogo przynajmniej mieć go tuż przy sobie.
- Wawrzek... cóżeś taki nadęty jak sowa? Boli cię na wnątrzu<sup>81</sup> cy może tatuś kijasem ołatali?
- Płowa głowina wysunęła się przez dziurę w płocie, za nią zgrzebna koszulka przepasana krajką, dwie brudne opalone rączki i takież nogi do krwi skąsane od komarów; krótko mówiąc, jedyny serdeczny przyjaciel Wawrusia – Mikołajów Jasiak.

---

<sup>77</sup> przyżenąć (daw.) – przyznać, przygonić. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> barć – dziupla w pniu drzewa z gniazdem pszczół. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> uznawam – dziś popr.: uznaję. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> zanadrze (daw.) – miejsce pod wierzchnim ubraniem na piersi. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> na wnątrzu (gw.) – w środku, w brzuchu. [przypis edytorski]

– Mas<sup>82</sup> se wiedzieć, śleporodzie brzycki<sup>83</sup>, że na mnie kija nie potrza. Raz w kielo<sup>84</sup> cas<sup>85</sup> tatuś mnie zerzną rzemykiem i dość. Dziś mi się należało bicie w porządku, ino... nie było cym. Matusia myśla, że ja nie wiem, co oni rzemyk za piec wrzili<sup>86</sup>, chi, chi, chi! Chodź ze mną na paświsko<sup>87</sup>, będziemy się tulać z górki. No, przedziej!

– Nie mogę. Pošli<sup>88</sup> na kiermas<sup>89</sup>, kazali siedzieć w chałupie, Hanki pilnować, coby nie wyleciała z kołyski.

– Aha, az tutaj słyhać, jak krzyczy! Dadzą ci matusia piastowanie, jak wróca...

– O rany!...

Skręcił się Jasiek w śrubę, przecisnął przez kolące chrusty, już tylko nogi widać... już tylko jedna pięta... już nie ma nic.

Gwiazdula naprzód, Krasa i Wiśniocha za nią, Wawrzek na ostatku, w pięknym ładzie i bez przygód zaszli wszyscy czworo na tatusiową łąkę. Chłopiec popędził krowy bardziej ku lasowi, żeby je księdzowe żytko nie kusiło, a sam rzucił się jak długi na ziemię i wsparty na łokciach wodził oczyma po łanach kwitnącego żyta, po krzywych wierzbach wzdłuż rzeki.

„Mikołajów chałupa jakosi jedną stroną do ziemi przysiadła – myślał, poglądając na z rzadka rozsiane sadyby, otoczone gęstwiną owocowych drzew. – Musi bardzo stara, bo carna i mechem<sup>90</sup> porośnięta... Nasa, to ci dopiro<sup>91</sup> piękna; jakie to bierwiona grube, ho! ho! jeden w jeden ze starych modrzewiowych pni. Tatuś sami jeździli do boru, sami ścinali, sami budowali, ino im Błazej ze Zaborówka pomagał. Godali<sup>92</sup> tatuś, że ona jeszcze będzie stała, jak nase prawnuki pomrą. Co to za jedne te prawnuki?... A niech se ta mrą, choćby i dziś, nic mi po nich... A jak u nas ciepłuško w zimie! Śniegu nawieje z nieba tyle, co ino strzechy stercą spod onych białości. Z rana łopatami drogę cynią<sup>93</sup>, żeby się drzwi dały otwierać. Potem wedle okien odgrzebią, bo śniezysko błony<sup>94</sup> pozasłania i w izbie carna noc. Potem matusia rozpalą ogień, obiad warzą, a my se siedzimy dookoła, grzejemy sie. Ino ten dym strasnie w oczy gryzie, az nawet samemu tatusiowi łzy leca. Jak się weźmie słać po izbie, to go w każdym kącie pełno, ino bez<sup>95</sup> dach nie chce iść. Boi się, coby nie zmarł. A pod wieczór, to nie ino matusia, ale tatuś krokiem za drzwi nie idą, choć wrota mocne i parkan wysoki. »Głodnemu wilku<sup>96</sup> głupi ino dowierza«, gadają tatuś. Ciekawość, duzo tez ta wsi na całym świecie? Chybo niewiela. Pusca ino i pusca. Tatuś mnie brali ze sobą, jak jeździli do barci miód podbierać. Tak mi się przykrzyły one drzewa i drzewa, pod samo niebo. I znowu jesce więkse, jesce grubse, jesce gęściejse. Pewnikiem za pusca to juz jest koniec świata i piekło, nawedem<sup>97</sup> raz słytał, jak coś strasnie wyło. Ani chybi diabły se robiły smak na chrześcijańskie duse. Kunie<sup>98</sup> to ci tak chrapały

<sup>82</sup> *mas* (gw.) – masz. [przypis edytorski]

<sup>83</sup> *brzycki* (gw.) – brzydki. [przypis edytorski]

<sup>84</sup> *kielo* (gw.) – ile. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *cas* (gw.) – czas; *raz w kielo cas* – raz na długi czas, niekiedy. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *matusia... rzemyk za piec wrzili* (gw.) – mama wrzuciła rzemyk za piec (użycie czasownika w 1m wyraża szacunek do osoby, o której się mówi). [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *paświsko* (gw.) – pastwisko. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *posli* (gw.) – poszli. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *kiermas* – właśc. kiermasz, odpust. [przypis edytorski]

<sup>90</sup> *mechem* (gw.) – dziś popr.: mchem. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> *dopiro* (gw.) – dopiero. [przypis edytorski]

<sup>92</sup> *godali* (gw.) – gadali, mówili. [przypis edytorski]

<sup>93</sup> *cynią* (gw.) – czynią. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> *błona* – w średniowieczu szkło było bardzo drogie, więc mniej zamożni ludzie wstawiali w okna pęcherze rybie lub zwierzęce. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> *bez* (gw.) – przez. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> *wilku* – popr. forma C. lp: wilkowi. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *nawedem raz słytał* (gw.) – nawet raz słyżałem. [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *kunie* (gw.) – konie. [przypis edytorski]

ze strachu... Jakże? Diabłów by się nie bały? Tatuś batem zacięli, ale niepotrzebno, bo ze swojej woli gnały jak ten wicher, omal wozu nie potrzaskały o kamieniska i korzenie. A jak my przed chałupę zajechali, to tatuś ino jedno słowo burknęli do matki; nie zmiarkowałem jakie, ale mnie w te pędy kazali klęknąć przed krzyżykiem i cały pacierz zmówić. Oni myślą, że ja nie zgadł, co to było! Diabły nas goniły i chciały porwać do piekła. Ale się tatuś gorzyj bali niz ja. Cięgiem ino krzyceli: »Jezusie, Maryjo... ratujcie nas!!« A nad kuniami<sup>99</sup> to przez<sup>100</sup> końca święte krzyże znacyli. Wszystko to dobrze, ino co mnie tak w łokieć gniecie? No... widzicie ludzie... korzenisko jakiesi! Ehe, juści, cudak nie korzenisko! Sprawiedliwie wygląda jak jasurecka. O... pyszcek, ino ślipki naznaczyć, tu znowu łapki jak raz gdzie się należy; wydłubać krzyne i gotowe. Ogon ci ta długocki... przytnie się kapkę i będzie”.

Wyciągnął z zanadrza kozik i obejrzał się.

„Zbiją tatuś... A za co by mieli bić? Dy<sup>101</sup> krowy w porządku, to mi wolno robić, co chcę”.

I dalejże skrobać, dłubać, wygładzać, zaokrąglać, zaostrzać; brwi zmarszczył, koniec języka wystawił z ust i poruszał nim prędzej lub wolniej, w miarę jak mu się robota lepiej lub gorzej wiodła. Nie w głowie mu Gwiazdula ni Krasa, co gorsza, nie w głowie mu tatuś.

Skończył. Ujął drewnienko w dwa palce, wyciągnął rękę, żeby się z daleka przyjrzeć, i przekrzywiwszy główkę, patrzył na swe dzieło z uśmiechem zadowolenia.

„Oj ty, ty... jakbym cie na ziemi do słońca położył, toby się twoje siostry i bratowie zbiegli do cie. Ino by się dziwowali, coś taka niemrawa, chi, chi, chi!... Jezu! A krowy gdzie? Rety... ludzie... o matko... tarasą<sup>102</sup> tez to plebańskie<sup>103</sup> zyto, tarasą!”

Zerwał się jak oparzony, ale i w tej minucie rozpaczy i grozy nie zapomniał o rzeczach najważniejszych; jaszczurkę i kozik wsunął za pazuchę.

„O Jezusińku... jakże ja sobie z nimi dam rady! Oj, spierą<sup>104</sup> mnie tatuś, spierą... chyba mnie na śmierć ubiją! O rany... Kuba, Scepon<sup>105</sup>, Bartek z kijmi<sup>106</sup>... juz po mnie!”

Nie pytając wiele, co się z krowami stanie, potoczył się z górki jak kula prosto do rzeki.

„Niech mnie ta gonia... Pan Jezus miłosierny... może w tej stronie brodu nie znają, a ja znam. Rzyka<sup>107</sup> głęboka, będą się bali”.

Chlupnął bez namysłu, woda go z głową przykryła, ale w okamgnieniu o parę stóp w prawo wynurzyła się jasna czupryna, a krok dalej – już tylko po kolana. Posuwał się zwolna, macając nogą ostrożnie, żeby na dziurę nie natrafić.

Parobcy księdza proboszcza, zajęci wypędzaniem bydła ze szkody, nie spostrzegli w pierwszej chwili, gdzie się pastuszek podział. Karbowy<sup>108</sup> Kuba wydawał rozkazy:

– Ty, Bartek, odprowadzisz gadzinę<sup>109</sup> do naszej stajni; jego wielebność przeznaczy sam, ile dni odrobku przy żniwie ściągnąć z Wojciecha; a smykowi to już ja skórę wyłożę wedle pamiątki.

– Ihi, juści – szyderczo się roześmiał Szczepan, skryty przeciwnik, zazdrosny o władzę Kuby – juści mu tak pilno czekać onej pamiątki; widzicie, jak pięknie przebrodził rzekę, o! już na drugi brzeg się spina!

– Tysiąc pieronów! Goń... łapaj... No lećże... co stoisz?!

<sup>99</sup> *kuniami* (gw.) – końmi. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *przez* (gw.) – bez. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *dy* a. *ady* (daw.) – przecież, ależ. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *tarasić* (gw.) – deptać, tratować. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *plebański* (daw.) – księży, proboszczowski. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *spierą* (gw.) – spiorą. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> *Scepon* (gw.) – Szczepan. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *z kijmi* – dziś popr. forma N. lm: z kijami. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *rzyka* (gw.) – rzeka. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *karbowy* (daw.) – nadzorca robotników. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> *gadzina* – w Krakowskiem lud nazywa gadziną zwierzęta domowe i drób. [przypis autorski]

- Nie pójde; brodu nie znam... pływać nie umiem...
- To gnaj krowy, niedojdo. Bartek, chodź, a rażno!

Pobiegli cwałem. Kubę dwa razy woda z nóg zwała, musiał mu Bartek podać rękę, i zabawiwszy dobry kwadrans, ledwie się na drugi brzeg wygramolili. Karbowy rzucił okiem po piasku nadbrzeżnym, ślady bosych nóg biegły w kierunku lasu. Rzucili się obaj w tę stronę, zamajaczyła im szara koszulka... Wawrzek dopadł pierwszy krzaków, stracili go z oczu.

„O matko... już krzyca... wołają na mnie! Co takiego?... Kuba wrzescy, co mnie na śmierć zatłuka! Ino mnie złapcie pirwy<sup>110</sup>!”

Gibki, drobny a sprężysty, odbijał się nóżkami od ziemi, dawał susy jak piłka, coraz dalej, coraz głębiej w las... Głosy goniących parobków słabo już tylko słychać było, prawdopodobnie zgubili ślad. Ale i dziecko traciło siły. Upadł pod gęstą leszczyną i dyszał głośno.

„Ojej... kłuje mnie w środku... choćby mnie ta i znaleźli, nie ruse sie... w bokach boli... matusiu!”

Dokoła cisza, spokój, ani ptaszków nie słychać; czasem coś smyrgnie po gałęzi z drzewa na drzewo: to wiewiórki się gonią.

Wawrzus pojęczał trochę, polamentował, ale z każdą chwilą robiło mu się lżej; bicie serca i klucie w piersiach ustało, obrócił się na boczek, jak w nocy na sianie przy matusi, i usnął twardo. Zbudziły go skośne promienie zachodzącego słońca, przedzierające się dołem pomiędzy pnie drzew. Roje komarów drżały w świetlanych smugach... Jeden promyk zaświecił mu w same oczy; ocknął się i usiadł.

„A to dopiro! Cóż ja w lesie robie? Aha, aha, prawda... ale i tak mnie nie dogonili! Chi, chi, chi... Juści, śmieję się głupi, że cie nikt nie kupi. Tatus cekają tam na mnie ze rzemieniem. Ino głowę bez drzwi wraże, okropa świata, co się będzie działo. Ano darmo, jęcenie jęcieniem, a bicie biciem. Trza iść, bo noc zapadnie. – Wstał, przeciągnął się i popatrzył na wszystkie strony. – Aha, z tamtej gęstwiny tum dopadł, trza się tą samą drogą wracać”.

Uszedł ze sto kroków i przystanął.

„Gnałem prosto od rzyki, to teraz pójde ku rzyce, z górki na dół”.

Zbiegł prędko, ale zamiast spodziewanego końca lasu i widoku na rzekę, znalazł się w gęstych zaroślach, ludzką nogą z dawna nie tkniętych.

„Nie, musiałem trochę zmylić, zawrócę ku słońcu, ba jak raz świeci do wody, kiej zachodzi”.

Ku słońcu, od słońca, z górki, pod górkę, błąkał się biedny dzieciak aż do zmierzchu. By zagłuszyć wzrastający niepokój, zaczął pogwizdywać pastusze piosenki... wreszcie zrozumiał, że nie trafi, w pół oddechu zerwało się gwizdanie, rozplakał się gorzko. Stał bezradny, zmęczony, głodny, puszcza przed nim, puszcza za nim... Coraz ciemniej się robi... jakieś wielkie ptaki przelatują cichym skrzydłem... tam za krzakiem ktoś wzdycha... Suche liście chrzęszczą... coś idzie! Wawrzus dech wstrzymuje, przytulił się do grubego buka, ani drgnie. Coś idzie, idzie, sapi<sup>111</sup>, przeszło bokiem, cisza.

„O rety... pewnikiem była dzika świnia, bo chrumcało. O... znowu cosi! Matko Boska, nie daj mnie!”

Wdrapał się na gruby konar pochyło zwisający, siadł na nim okrakiem i patrzy. Niby to ciemno w puszczy, ale pełnia księżycy, to bodaj gdzieś tam mdłe światełko między liście zagłada.

Wawrzus drgnął.

„Śmigne wyżej, bo sie boje... o Jezu, znowu idzie! Jak tez to mruce, mruce...”

Między krze i konary przeciska się wielki brunatny niedźwiedź; zły czegoś bardzo, bo co chwila przystawa<sup>112</sup>, pazurami ziemię drapie i głośno mruce.

---

<sup>110</sup> *pirwy* (gw.) – pierwej, najpierw. [przypis edytorski]

<sup>111</sup> *sapi* (gw.) – sapie. [przypis edytorski]

<sup>112</sup> *przystawa* – dziś popr.: przystaje. [przypis edytorski]

„Może głodny... a może to matka, cosi jej dzieci zezarło?... Łaska boska, juz nic nie słysząc. Oho, nie zleżę ja z tego drzewa, ani myślenia... zostanę tu na noc”.

Usadowił się wygodnie na dwóch gałęziach tuż przy sobie rosnących, plecami się o pień oparł, przymknął oczy i spokojny, że mu niedźwiedź nic nie zrobi, usnął prawie natychmiast.

Zbudziły go przeraźliwe jakieś niby szczekania.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen. – Zmówił cały pacierz; wrzaski nie tylko nie ustawały, ale słysząc je było coraz bliżej... Z głębi puszczy wyszedł wilk z najeżonymi kudłami, usiadł na mchu pyskiem do księżyca i zaczął wyć...

„O przenajświętszo Matko... to wtedy wilcy byli? A ja myślał, że diabli!...”

## Dziwny pielgrzym

U pszczoł na obiedzie. – Rozpacz Wawrusia. – Za głosem dzwonów. – Kąpiel w lesie. – Widziadło. – Co Wawruś wypatrzył pod kościelnym oknem. – „Chwytaj! Łapaj!” – Oczy pielgrzyma.

Wawruś obudził się przeziębły i bardzo głodny. Pojrzał z wysokości na wszystkie strony – cicho. Dziki, niedźwiedzie, wilki wróciły pewno do legowisk, dopiero w nocy rozpoczną na nowo swe polowania i wędrówki.

Z gałęzi na gałąź pomykając, zsuwając się po pniu, dotarł do najniższego konara i zeskoczył na ziemię. Patrzy znowu, nasłuchuje – nic.

„Juz też ta dziś nie będę się kręcił w kółko jak głupi – myślał, nauczony wczorajszym doświadczeniem – ino<sup>113</sup> se pójde prosto i prosto, ani raz się nie zawrócę. Do jakiegoś przecie końca doleżę, ludzi może napotkam, to mnie do tatusia odprowadzą. Dy<sup>114</sup> tatusia wszyscy znają. Ino teraz sukać trza jadła jakiego; skręca mnie cosi na wnątrzu<sup>115</sup> jak wióry... a mgli<sup>116</sup>...”

Zerwał parę listków kwaśnego ziółka, zwanego zajęczą kapustą, zeżuł i połknął.

„Dobre to przegryźć po kluskach, jak się przykrzy darmo leżeć na paświsku; ale na głodno... Trza iść, stanie mi jeść nie da”.

I poszedł, gdzie oczy poniosą, nie zbaczając ani na prawo, ani na lewo, ciągle prosto, jak sobie to postanowił. Głód bardzo doskwierał, godziny mijały, a gdzie spojrzy, ino mchy, paprocie, jałowce, a górą stare grube pniska... aż strach ogarnia, co to dalej będzie. Nogi takie ciężkie, spać się chce czy co takiego?

„Choć do słońca pójde się ogrzać; jakasi polana... drzew tam nie ma; połoze się na trawie, pośnie, może mi zelży”.

Widok zielonej dolinki o kilkanaście kroków, słońcem oblanej, dodał mu otuchy. Podbiegł w tę stronę.

„Raju... cerwona trawa! Nie... to jagody!”

Rzucił się, drżący z głodu, na ziemię, jadł, jadł i odjeść<sup>117</sup> się nie mógł.

„Jaśka by tu puścić, ten ci przepada za poziomkami! Alezem się naładował setnie; jaze mi w oczach pojaśniło”.

Wyjął z zanadru drewnianą jaszczurkę, przypatrzył jej się z lubością, westchnął i pokiwał głową.

„Widzis, głupia, wsyćko<sup>118</sup> twoja wina; bez<sup>119</sup> ciebie ja tak na pustyni pokutuję! Wylegas sie pięknie jak królowa, a ja mizeracek tyle pędy muse rypać. Pan Jezus jeden wie, kaj<sup>120</sup> zajdę. No, idź spać, pora na mnie”.

I wędrował dalej. Za wiele jednak ufał poziomkom; ani dwie godziny nie minęło, znowu głód. Żebyż choć nadzieja wyjścia z tego przeklętego lasu! Drzewa olbrzymie konarami u góry się płączą, w zielone sklepienie wiążą; chłód, mrok, nieba nie widać, słońca nie widać, ponura, głucha cisza... Kukanie kukułki słabo dolatuje; widno wszystkie ptaki pouciekały z tej ciemni do słońca.

---

<sup>113</sup> *ino* (gw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>114</sup> *dy* (daw.) – przecież. [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *na wnątrzu* (gw.) – w środku, w brzuchu. [przypis edytorski]

<sup>116</sup> *mgli* (gw.) – mdli. [przypis edytorski]

<sup>117</sup> *odjeść się* – najeść się. [przypis edytorski]

<sup>118</sup> *wsyćko* (gw.) – wszystko. [przypis edytorski]

<sup>119</sup> *bez* (gw.) – przez. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> *kaj* (gw.) – dokąd. [przypis edytorski]

„Cosi pachnie... – pociągnął głęboko nosem – juści, miodem wonieje, woskiem... barć<sup>121</sup> tu gdzieś musi być bliżutko. Trza patrzeć, gdzie wypróchniałe drzewa. – Podniósł głowę i śledził pilnie. – Zeby ino nie za wysoko. Oho... pscoły się uwijają... mojeściewy ślicne, pokażcie mi drogę!... Jest! Oj, szkoda, że mnie tatuś nie widzą, boby mnie pochwalili. Wszystko człowiek ma na zawołanie: i kozik, i hubkę, i krzesiwko; a zawdy<sup>122</sup> ino gadają, zem niemrawiec”.

Skrzesał ognia, rozjarzył kawałek hubki, wsadził w szczelinę wypróchniałego drzewa, tuż przy otworze barci, a sam czym prędzej uskoczył w bok, bo rozwścieczone pszczoły mogły się nań rojem rzucić i na śmierć zakłuć. Schowany za rosochatym wiązem, czekał cierpliwie, czasem jedno oko wysuwając. Gorzki, gryzący dym z tlejącej hubki rozsunął się białawym obłoczkiem dokoła barci, aż i przedostał się szparami do wnętrza. Z głośnym brzękiem wyleciało kilkaset pszczół na powietrze; zatrzymały się przez parę sekund w miejscu, jakby naradzając się, co robić wobec tak strasznej klęski, i zbite w kłęb, pomknęły ku górze.

Nie jeden dorosły nawet człowiek, ale nieświadomy rzeczy, korzystałby z pomyślnej chwili i śmiało szedł miodu wygarnąć z opuszczonej barci. Wawrzek tyle razy napatrzył się robocie ojca, że i sam zachował się jak stary, doświadczony pasiecznik. Wiedział, że na straży ukochanego ula i bogatej spiżarni zostaje zawsze kilkadziesiąt najwytrwalszych pszczół, i te albo giną uduszone dymem, albo opuszczają barć o wiele później od swych poprzedniczek. Stał więc ciągle za drzewami i czekał. A hubka nie przestawała się dymić.

„No, może ta juz macie dość? Mnie samego w nosie kręci, to chyba uciekły abo<sup>123</sup> pomarły”. (W mniemaniu ludu pszczoła za to, że dostarcza wosku na światło do kościoła, ma wyższość nad innymi zwierzętami, że nie zdycha jak one, tylko umiera jak człowiek.)

Wawrzus wysunął się z kryjówki, powolutku się zbliżał do upragnionego celu, a ciągle rzucał oczyma na wszystkie strony, czy się gdzie jeszcze jaki niedobitek nie pokaże. Wspiął się na suchy konar i zajrzał do wnętrza barci.

„To ci komora pełna! Hej, hej... pewnikiem niepamiętne lata się tu mają, a nikt o nich nie wie. Nawet mi nie żal, że takim bogackom ubiorę krzynę”.

Spiesznie zastrugał ułamaną gałązkę w kształt łopatkki, liść łopuchowy położył na lewej dłoni, podważył grubą warstwę spod samego wierzchu i wyciągnął śliczny biały plaster, złotym, gęstym miodem kapiący.

„Teraz w dyrdki uciekaj, bo cię jesse dogonią!” – ze śmiechem sam siebie straszył i przygasiwszy hubkę, pobiegł pędem kilkadziesiąt kroków dalej. Usiadł pod dębem i zajadał chciwie, wyssany wosk popluwając.

„Dalibyście chleba, matusiu... nijako tak samo słodkie łykać” – szepnął pół żartem; ale na wspomnienie matusi, takiej bardzo dobrej, co to i umyła, i uczesała, upieściła, do sytości jeść dała, a przed każdą biedą osłoniła, zgorzkniał mu w ustach miód słodziutki, a oczy łzami zaszyły.

„Biedny ja, biedny, taki samiuteńki, ani mnie nie znać w tym strasnym puscysku!... Nicym chrobacek<sup>124</sup>. Jak mnie wilcy zagryzą albo niedźwiedź zadusi, to ani ptasecek nie polecą do Poręby dać znać, co już ni ma Wawrzusia. Oj, Boże, Boże... ady<sup>125</sup> się ulitujcie nade mną, święci janiołowie<sup>126</sup>, i wyprowadźcie mnie na jaką dobrą drogę!”

Wylizal liść miodem posmarowany, rączki wytarł mchem i ziemią do sucha – i znowu prosto przed siebie. Słońce się ma ku zachodowi, ale w odwiecznym boru jednakowy mrok o zaraniu, w południe i pod wieczór. Wawrzus bardzo już zmęczony; długą drogą zmęczony i płaczem, i tęsknotą

<sup>121</sup> *barć* – dziupla w pniu drzewa z gniazdem pszczół. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> *zawdy* (daw.) – zawsze. [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *abo* (daw.) – albo. [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *chrobacek* (gw.) – robaczek. [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *ady* (daw.) – przecież, jednak, ależ. [przypis edytorski]

<sup>126</sup> *janiół* (gw.) – anioł. [przypis edytorski]

za matusią. Ogarnęło go jakieś odrętwienie, idzie jak we śnie, a tylko niekiedy dreszcz go przebiega... ta puszcza nie ma końca, będzie tak szedł, szedł, aż umrze.

„O Matko Boska z matusinego obrazka... weź mnie, biedne dziecko, do nieba. Juz nikaj<sup>127</sup> nie pójdę, położę się tutaj<sup>128</sup>, niech się dzieje, co chce. Ino pacierz jesce znowie przede śmiercią. »Ojce nas, któryś jest w niebie, święć się Imie Twoje, psydź królestwo«... – Zerwał się na równe nogi. – Słyszycie ludzie... dzwony! Dzwony... dzwony... Rety! Kościół kajsi<sup>129</sup> niedaleko! Matko Najświętso... nie bede juz umierał, nie! Lece ku dzwonom! Jakasi wieś niedaleko... O Panie Jezusie... o moja złota matusiu!”

Wesoły, zdrowy, silny, wypoczęty, rzucił się pędem w stronę, skąd głos dzwonów dolatywał. Wsi wprawdzie tak od razu nie znalazł, ale drzewa zaczęły się coraz bardziej przeredzać, światło zamierającego dnia wpadało między krzaki, chłopiec biegł, biegł, aż dotarł do jakiegoś wąwozu na skraju lasu. Górą ślady kół i kopyt końskich szły w kierunku wsi widniejącej z daleka; patrzy na dół: rzeczulka, raczej strumień, płynie sobie warciutko. Dno białym żwirem wysłane, a co kamień większy wystercza, to go woda bije i pianą obryzguje.

Wawrzus ześliznął się po skrzypach i macierzankach na sam dół, zdjął koszulę i wskoczył do wody. Pluskał się, zanurzał i wypływał, pił chciwie, kładł się jak długi na płytkim, to znów szukał głębszego miejsca i próbował pływać; wybiegał na brzeg po to tylko, by wracać i pluskać się na nowo. Kąpiel orzeźwiła go do reszty i wyгнаła z głowy wszystkie czarne myśli.

„Śmiechu warte, jaki ja był głupi... cegozem sie bał<sup>130</sup>? Cóż mi sie stało? Zjadło mnie co? A może to nawet nie była pusca, tylko taki sobie zwyczajny las? Chyba juz wyleze z tej wody, bo jak sie ściemni, to znowu sie gdzie zabłąkam”.

Podniósł oczy ku zachodowi zobaczyć, co się dzieje ze słońcem, i nagle przysiadł po szyję w wodzie, nie śmiejąc się ruszyć ani odetchnąć.

„O Jezu... cosi znowu idzie...” – pomyślał, kurcząc się, że mu tylko nos i oczy ponad wodę wystawały.

Brzegiem wąwozu, oświetlony czerwonym blaskiem zachodzącego słońca, szedł powoli człowiek jakiś. Wzrostu był więcej niż średniego, Wawrusiowi jednak, patrzącemu z dołu, wydał się na tym tle ognistym straszny olbrzymem. Kapelusz miał czarny z szerokimi kresami, białymi muszelkami w miejsce taśmy otoczony; płaszcz ciemny, niemal ziemi sięgający, z kończą pelerynką i kapturem, przewiązany w pasie trzy razy dokoła grubym szarym powrozem. Na lewym ramieniu, trochę ku przodowi, duża muszla biała. Podpierał się kijem zakrzywionym.

„Co tez to za jedno? – łamał sobie głowę przerażony chłopak. – Wielgośne, jaze okropa, na głowie grzyb cy co takiego... carno zamatulone, śniade na gębie jak Cygan... broda strasecna, pewnikiem upiór albo dusa pokutująca. Juści nie kto insy. O raj!... złazi do wody... joj... zeby mnie tez nie uwidziało!”

Wawrzus podpełznął cichuteńko za wielki głaz na środku rzeczki i patrzył, co upiór będzie robił. Czarny człowiek zeszedł na sam brzeg, wyjął z zanadza mały cynowy kubek, nabrał wody ze strumienia i pił. Kilkakrotnie napełniał naczynie, musiał być bardzo spragniony. Potem przyklęknął, zdjął kapelusz, odgarnął długie włosy, pochylił się i mył sobie twarz i ręce.

„O retyści... ady<sup>131</sup> on nie ma ucha... obmierzle<sup>132</sup> wygląda!”

---

<sup>127</sup> *nikaj* (gw.) – nigdzie. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *tutok* (gw.) – tutaj. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *kajsi* (gw.) – gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *cegozem sie bał* (gw.) – czego się bałem. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *ady* a. *dyć* (daw.) – przecież, właśnie, ale. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *obmierzle* – okropnie, obrzydliwie. [przypis edytorski]

Kalectwo i czynności tak niezgodne z powagą istoty nadziemskiej, jak picie i umywanie, uspokoiły trochę Wawrusia; nie wychylał się jednak ze swej kryjówki i nie dawał znaku życia, bo ten dziwnie odziany, ponury człowiek przejmował go strachem i wstrętem.

Wypocząwszy nad rzeką, pielgrzym wydrapał się na górę i poszedł leśną drogą ku bliskiej wsi czy miasteczku; dopiero wtedy odważył się dzieciak wyleźć z wody. Naciągnął koszulinę na mokre ciało, owiązał się krajką<sup>133</sup>, jaszczureczkę, kozik i krzesiwo zasunął aż ku plecóm, żeby się te skarby broń Boże nie pogubiły, i puścił się w tę samą stronę, co straszny człowiek, ociągając się i zwalniając kroku.

„Niech se ta idzie naprzód, a ja za nim; abo mi to pilno? Moze to carownik? Jesce by mnie w psa zaklął albo w kunia<sup>134</sup>, do roboty naganiał a katował. Nie głupim”.

Ściemniało się coraz bardziej, na Anioł Pański dawno przedzwoniono, a Wawruś jeszcze siedział nad przykopą, żeby się nie zejść z czarownikiem. Aż i gwiazdy wysypały się na niebo.

– Pójdę juz – rzekł, zdobywając się na odwagę. – Zapukam do jakich drzwi, ulituje sie kto, pożywi i przenocuje.

Ale za długo się wahał i czekał; właśnie gdy mijał pierwsze domki miasteczka, dało się słyszeć przeciągłe buczenie rogu i głos nocnego stróża: „Świałaatło gasić! Świałaatło gasić!” Ze względu na niebezpieczeństwo pożaru istniał surowy przepis po miastach i miasteczkach, że w godzinę po zachodzie słońca w lecie, a w cztery lub pięć w zimie (w miarę ubywania dnia), stróże nocni trąbili po ulicach i nakazywali gaszenie ognia w piecach i światła w izbach. Równocześnie zamykano drzwi domów i bramy zajazdów. Biedne dziecko znalazło się więc znowu w bardzo przykrym położeniu. Księżyc nie wzeszedł jeszcze, uliczki wąskie, ciemne; szło biedactwo bez celu, aby się gdzie ino do muru przytulić i przespać. Zbliżył się do jakiegoś domostwa, z szerokim okapem dachu opartym na drewnianych słupkach.

„O, tutok będzie spanie pańskie, lepsze niz wcoraj na drzewie”. – Ledwie przysiadł na przyzbie, dało się słyszeć z za płota straszne ujadanie psa, ktoś uchylił okienka i gruby, gniewny głos odezwał się:

– Cóż tam za truteń łązi po nocy i uczciwym ludziom spać przeszkadza!

– To ja, Wawruś Wojciechów... – zapiszczało dziecko.

– A nie pójdiesz ty do domu, nicponiu szkaradny! Ledwie to od ziemi odrosło, już się włóczy jak złodziej. Idź mi zaraz do domu!

– Kiej<sup>135</sup> nie trafie!

– A wyjść na ulicę umiałeś? Wynoś mi się... bo psa spuszczę z łańcucha!

Okienko zamknęło się, pies tak zajadle szczekał, aż chrypl z wściekłości; gotów jeszcze płót przesadzić.

„Wynosić się, to się wynosić; pójdę kaj<sup>136</sup> indziej... ino ze te nogi strażnie bolą”.

Powlókł się dalej. Dochodzi do rogu ulicy...

„Cie wy, cie wy... cóz za placysko wielgośne! Na co takie? Z cterech końców ulice, domy dokoła, ani w Porębie tak nie mają. A co tez to wozów, kuniów, ludzi... powyprzęgali, na ziemi se posłali słomę i śpią. Pójdę między nich, legnę cichuśko, ady im nie ubędzie. O matko... zbój z siekierą okropecną! W drugiej ręce takie coś... przykłada do gęby, trąbi...”

– Gaaasić ogień! – krzyknął stróż, dojrawszy światła migające jeszcze gdzieniegdzie w okienkach. Podszedł do bram i stukał w nie halabardą.

„Aha, to pewno sam dziedzic; parobków zwołuje, cy co? Poprose onego, może mi da chleba ociupine; tak się jeść chce... aha, a jak mnie zwali siekierą? Trza uciekać... – Pobiegł w przeciwną

---

<sup>133</sup> *krajka* – chustka. [przypis edytorski]

<sup>134</sup> *kun* (gw.) – koń. [przypis edytorski]

<sup>135</sup> *kiej* (gw.) – kiedy. [przypis edytorski]

<sup>136</sup> *kaj* (gw.) – gdzie. [przypis edytorski]

stronę rynku. – A to ci stodoła dopiro! Na co taka? W imię Ojca i Syna... wieża! Dy<sup>137</sup> to kościół! Panie Jezusie przenajświętszy... przecie mnie Ty od swego domu nie odgonis? Najbidniejsemu żebrakowi wolno, to i ja chrobacek<sup>138</sup> prześpię się na schodach. Nie, tak na samym wierzchu nie trza, może by się dziedzic gniewali; schowam się za przymurek; tu mi się tez to będzie spało, spało...”

Wlażł do kąta przy jednej z pięciu szkarp<sup>139</sup> podpierających prezbiterium i położył się.

„Ojoj... cyjesi tu łachy leżą... trza usunąć, cobym bez sen nie potarasił”. – O ludzie! – krzyknął i czym prędzej usta sobie ręką zatulił. „Płasc... kapelus z muselkami... kijasek... takim sie onego zatracenia bał, a tu mas, będziemy razem nocowali! Ino gdzie polaż? Pójdę se legnąć po tamtej stronie kościoła”.

Odszedł trzy kroki i szukał, gdzieby się najbezpieczniej skryć przed czarownikiem. Księżyc wypłynął już spoza niskich domków na niebo i rzucał jasne światło; coś zgrzytnęło: jedno z okien kościelnych otwarło się powolutku, a po grubym sznurze, uczeponym u klamry żelaznej, spuszczał się człowiek. Rękami trzymał się powroza, a w zębach ścisnął nieduży tobołek zawinięty w szmatę.

Wawruś stał jak skamieniały i patrzył... ale i tamten spostrzegł go równocześnie. Stłumiony krzyk wydarł mu się z piersi, zęby puściły zdobycz, tłumoczek upadł na ziemię, a ze szmaty lichy związanej w pośpiechu wysypały się złote naczynia kościelne i promienista monstrancja<sup>140</sup>.

Złodziej zeskoczył z wysokości kilku stóp i twarz wykrzywioną złością okrutną zwrócił ku dziecku.

– O mój Jezu... to on... to ten sam!

– Widziałeś? – krzyknął czarny człowiek, patrząc w prawo i w lewo, czy się kto nie zbliża. – Widziałeś? To dobrze! już na tym świecie nic więcej nie zobaczysz.

Rzucił się ku niemu z wyciągniętymi szponami, aż tu nogą zaczepił o swój płaszcz, tylko co przez Wawrusia wysunięty z kąta, i runął jak długi na ziemię. Chłopiec odsadził się w dwóch susach jak spłoszony żróbek<sup>141</sup> i biegł, ziemi prawie nie tykając, z wrzaskiem przeraźliwym:

– Zadusi mnie! Zadusi mnie!

Złodziej widząc, że go nie dopędzi, a słusznie bojąc się ludzi, pozbiarał czym prędzej złote naczynia, związał w węzełek i pomknął poza kościół w najbliższą uliczkę.

Na pisk Wawrusia, rozdzierający ciszę nocną, zbiegło się dwóch stróżów nocnych i kilkadziesiąt ludzi spoczywających w rynku przy wozach z towarami przygotowanymi na jutrzejszy jarmark.

– Czego się drzesz, lichy przejęte? – huknął na niego stary Mikołaj, waląc o ziemię halabardą.

– Cni<sup>142</sup> ci się za prętem? Widzicie go! – dorzucił drugi stróż. – Tyle rejwachu<sup>143</sup> po nocy; zerznąć skórę, jak się patrzy, i tyła.

– Cichoścież – przerwała jakaś kobieta z tłumu – chłopak już duży, nie krzyczałby, jakby nie miał o co. Trzęsie się ano jak listeczek. Cóż ci to, synku? Powiedz, nie bój się.

– Zło-zło-o-dziej mnie go-nił... ch-chciał udusić!

– Gdzie złodziej? Jaki znowu złodziej? – burknął Mikołaj, obrażony, że pod jego czujną halabardą śmiał ktoś przypuszczać możliwość podobnego bezceństwa.

– Gdzie złodziej? – powtórzyli zaciekawieni ludzie, skupiając się około dziecka.

---

<sup>137</sup> *dy a. ady* (daw.) – przecież, ależ. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> *chrobacek* (gw.) – robaczek. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *szkarpa* – skarpa, przypora muru w kształcie wystającego na zewnątrz filaru. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *monstrancja* – naczynie liturgiczne w kształcie słońca na nóżce, w którym wystawia się hostię podczas mszy i procesji. [przypis edytorski]

<sup>141</sup> *żróbek* (gw.) – żrebak. [przypis edytorski]

<sup>142</sup> *cnić się* – tęsknić. [przypis edytorski]

<sup>143</sup> *rejwach* – hałas, zamieszanie. [przypis edytorski]

– Wyłaził oknem z kościoła, złotości się rozsypały, a jak mnie uwidział, skoczył z rękami na mnie i gadał, co<sup>144</sup> mnie uduśi.

– Ot, plecie bajtała<sup>145</sup> trzy po trzy.

– A go wam szkodzi zajrzeć do fary<sup>146</sup>? Niech pokaże, co widział i gdzie.

– Racja, dobrze gada niewiasta; chodźmy.

I posunęli hurmem ku kościołowi, Wawrzek prowadził.

– Jezus, Maryja... był złodziej! – Okno otwarte!

– Sznur wisi aż do ziemi!

– Nie skłamało dziecko! – krzyczeli ludzie, jedno przez drugie. Dokoła Wawrusia huczało jak w ulu: w domostwach otwierały się okna, wychylały się z nich pytające głowy kobiece; mężczyźni wybiegali przed domy, tłum zwiększał się z każdą chwilą. Jedni biegli zawiadomić proboszcza i burmistrza o świętokradztwie, inni z krzykiem rozsypali się po miasteczku, ktoś uderzył w dzwon na twogę, Wawruś stał ciągle otoczony gromadą ciekawych. Stróż Mikołaj potrząsnął go za ramię.

– Gadaj no, dziecko, przyjrzałeś się też onemu dobrze? Poznałbyś go?

– Jesce by nie! Juzem go dziś widział w lesie nad rzeką; a teraz, miesiąc mu świecił prosto w twarz, od razum poznał, ze ten sam.

– Jakże wygląda?

– Ano, duży, ciemny na gębie, broda carna...

– Wybornie! – przerwał któryś z ludzi – a jak był odziany?

– Nicem cudak abo<sup>147</sup> carownik – odpowiedział Wawruś. – Opońca z kapturem, kapelus z muselkami.

– Pielgrzym! Pielgrzym! – zawołało kilkoro na raz.

– A jakże, był tu taki przed wieczorem!

– I ja go widziałem!

– I ja!

– I ja!

Wszyscy obecni zaczęli sobie opowiadać, gdzie który spotkał pielgrzyma; byli tacy, co rozmawiali z nim nawet. Inni widzieli, jak wchodził do kościoła.

– Aha... – zawołała jakaś dziewczyna – schował się pewnikiem do kąta i dał się zamknąć.

– Słusnie. Ino krótkie miał odzienie, wyraźnie widziałem.

– Nic dziwnego, szeroki płaszcz zawadzałby mu przy wyłażeniu oknem.

– Aha, aha, jesce cosik! – zakrzyknął nagle Wawruś.

– No, co?

– Ucha nie miał... lewego.

– Co? Ucha nie miał? To ci dopiero!

– Ano, po takim znaku od razu poznać.

Z drugiej strony rynku spieszo szedł burmistrz, za nim sześciu ceklarzy, czyli straż policyjna. Do ceklarzy przyłączyli się stróże nocni i prawie cała męska ludność miasteczka. Podzielono ich na trzy oddziały i domyślając się, że zbrodniarz najprędzej będzie uciekał ku lasowi, bo tam w nieprzebytych gąszczach skryć się łatwo, a pościg prawie niemożliwy, rozkazał pan burmistrz zabiec mu z trzech stron i przeciąć drogę do lasu.

Wyruszyli z latarniami i z pochodniami, bo jak na złość księżyc przysłoniły chmury.

– Rozstąpcie się, ludzie! – zawołał ktoś w tłumie – ksiądz idzie!

---

<sup>144</sup> *co* (gw.) – tu: że. [przypis edytorski]

<sup>145</sup> *bajtała* – gaduła, kłamczuch. [przypis edytorski]

<sup>146</sup> *fara* – kościół parafialny. [przypis edytorski]

<sup>147</sup> *abo* (daw.) – albo. [przypis edytorski]

Proboszcz z gołą głową biegł na przełaj ku kościołowi; stary zakrystian z latarnią w rękę, nie mogąc mu nadażyć, przystawał w tyle zadyszany.

– Usuńcie się ode drzwi!

Ksiądz wyjął klucz z kieszeni i drżącą ręką ciężki zamek otworzył. Pilno mu było sprawdzić co najważniejsze, czy świętokradca nie tknął i nie rozsypał komunikantów. Burmistrz pospieszył z nim. Pokazało się, że cyborium<sup>148</sup> było nie naruszone; proboszcz odetchnął spokojniej. Skarbczyk, zaryglowany grubą żelazną sztabą i zamknięty na dwie kłódki, znaleziono także w całości, złodziej zabrał tylko to, co było na wierzchu w zakrystii: dwa kielichy przygotowane do mszy świętej na jutrzejszy odpust, relikwiarz<sup>149</sup> złoty i także monstrancję. Szukając po szufladach, wywłókł aparata<sup>150</sup> kościelne i rozrzucił je po podłodze. Szkoda była znaczna, ale w skarbcu znajdowały się klejnoty i złote naczynia dziesięćkroć większej wartości. Jeszcze nie posprzątał z podłogi wszystkich kap i ornatów, gdy uszu ich doleciały wściekle wrzaski. Wybiegli z kościoła.

Tłum, kilkaset głów liczący, prowadził pojmanego złoczyńcę. Gdyby nie ceklarze i stróże nocni, którzy go wzięli między siebie, poszarpano by go żywcem na sztuki. Łagodna, raczej ospała ludność miasteczka, popadłszy w szał, zdolna była do najsroźszego okrucieństwa.

– Pasy drzeć z łotra! – wołano.

– Oczy wyłupić!

– Ręce odrąbać świętokradcy!

– Na gałąź!

– Żywcem spalić!

Z wysokości schodów kościelnych proboszcz krzyknął gromkim głosem:

– Spokój! Milczeć!

Najbliżsi usłyszeli rozkaz, posłali go wstecz, strażnicy ze swej strony uciszali rozhukaną zgraję, szumiało jeszcze i wrzało kilka minut, wreszcie zmęczeni się i umilkli. Burmistrz, stanąwszy obok proboszcza, zawołał:

– Dość tych hałasów! Zbrodniarzaście pojмали, a sami sprawujecie się jak zbóje. O cóż krzyczycie? Wszak stoi skępowany przed wami; jutro odwiezie go straż do grodu, sędziowie wydadzą wyrok sprawiedliwy, topór go nie minie, to pewna. Tedy nie szukajcie na nim pomsty, a zachowajcie spokój.

Tłum oprzytomniał i usłuchał. Nieznajomy, którego mimo pęt na rękach trzymali za ramiona dwaj ceklarze, skorzystał z chwili ciszy i usiłując pokłonić się burmistrzowi, rzekł tonem zupełnie spokojnym:

– Zezwólcie, miłościwy burmistrzu, abym – niewinny człowiek, rzeknął słowo w swej obronie.

Groźne okrzyki zaczęły się wrywać z tłumu.

– Uciszcie się; niech mówi – nakazał burmistrz.

– Szedłem ulicą miasta – mówił nieznajomy – szedłem powoli, zmęczony długą drogą; nie w myśli mi było uciekać ni kryć się; szukałem noclegu, a wszystkie domostwa były pozamykane. Tedy chciałem zapytać pierwszego lepszego przechodnia, gdzie plebania, i księdza proboszcza prosić o kąć i wiązkę słomy, a jutro rano byłbym poszedł dalej, bo do Krakowa zdążam. Aliści, pogrążonego w myślach, napadli ze srogimi okrzykami zbrojni ludzie, skępowali do krwi i włoką niczym mordercę, gdy nawet nie odgaduję, o co mnie oskarżają.

– Oho, wilk w baraniej skórze! – krzyknął stary jakiś mieszczanin.

---

<sup>148</sup> *cyborium* – tabernakulum, puszka a. szafka do przechowywania komunikantów. [przypis edytorski]

<sup>149</sup> *relikwiarz* – naczynie, w którym przechowuje się relikwie, tj. pamiątki po świętych. [przypis edytorski]

<sup>150</sup> *aparata* (daw.) – sprzęty. [przypis edytorski]

– Po drodze – mówił dalej pojmany – wyrozumiałem coś niecoś, domyślałem się, że popełniono tu kradzież. Zali<sup>151</sup> jedną nitkę cudzą mam na sobie? Ubogi jestem, głodny, bezdomny, ale uczciwy. Rozkażcie, panie, aby mnie puszczono wolno.

Jeszcze domawiał ostatnich słów, gdy z ulicy najbliższej rogatek wybiegło dwóch wyrostków z radosnymi okrzykami:

– Znaleźliśmy święte sprzęty, wielbny panie!

– Jest wszystko! Porzucił bezecnik pod płotem!

– A co? A co? Jeszcze teraz będziesz świętego udawał? – krzyknął mu ktoś nad samym uchem.

– Czyli<sup>152</sup> zaprzeczam, że była kradzież? – odparł, ruszając ramionami. – Złodziej uciekł, a niewinnego dręczycie.

– O ludzie... gdzie macie upamiętanie! – krzyknęła ta sama kobieta, która najpierwsza wypytywała Wawrusia. – Ady zawołajcie dziecko, to nam powie, zali tego widział w kościelnym oknie albo inszego.

– A prawda... święte słowa!

– Dawajcie chłopaka!

– Nie ma go!

– Pewno do domu poszedł!

– Nie, skrył się za przymurek. Chodź tu, chodź, czego się boisz? Zbój związany.

Przyprowadzono Wawrusia przed oblicze pana burmistrza, ten go ujął za rączkę i rozkazał przywieść bliżej pojmanego. Jeden z ceklarzy oświecał go latarnią.

– Przypatrz się dobrze; znasz tego człowieka?

– Nie znam go.

– Widzi wasza wielmożność... dziecko chyba nie kłamie! – tryumfująco zawołał obcy.

– Więc nie jego widziałeś spuszczonego się oknem z kościoła?

– Juści<sup>153</sup>, ze jego.

– Czemuż tedy gadasz, że go nie znasz?

– Bo prawda. Wiem ja, kto to taki? Dziś w lesie pirsy<sup>154</sup> raz w życiu go widziałem. To jakoż mam świadczyć, co go znam?

– Zspanego, głupiego brzdąca robicie moim oskarżycielem – z goryczą rzekł pojmany. – Zaiste, bezpiecznie podróżnemu przechodzić przez to sławne miasto.

– Powiedz prawdę, możeś niedobrze widział, może ci się ino zdaje? Może to był ktoś podobny, a nie ten sam? – badał burmistrz Wawrusia.

– Cóż mi się ma zdawać? Sami se obaccie, cy ma oba usy. Złodziej nie miał lewego.

Stary Mikołaj odgarnął ręką długie włosy nieznajomego.

\*

Gdy straż odprowadzała świętokradcę do tymczasowego więzienia w podziemiach ratusza, zbrodzień odwrócił głowę i długie spojrzenie, straszny wzrok wilka schwytanego w samotrzask, utkwiał w twarzy Wawrusia. Górna warga drgnęła, błysnęły zęby...

– Do widzenia, malučki<sup>155</sup>... – rzekł półgłosem. Wawruś nagłym ruchem podniósł łokieć ponad głowę i przerażoną twarz wtulił w fałdy rękawa. Gdy znowu spojrzął na świat, pielgrzymka przed nim już nie było. Zakrywał go tłum odprowadzający więźnia do lochu pod ratuszem.

---

<sup>151</sup> *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>152</sup> *czyli* – tu: czyż. [przypis edytorski]

<sup>153</sup> *juści* (gw.: już ci) – oczywiście, rzeczywiście, w istocie. [przypis edytorski]

<sup>154</sup> *pirsy* (gw.) – pierwszy. [przypis edytorski]

<sup>155</sup> *malučki* (gw.) – malutki. [przypis edytorski]

Długo jeszcze na rynku roilo się jak w mrowisku; rozbudzeni ludzie żywo rozprawiali o zbrodni i zbrodniarzu.

– Naści, może ty nie wieczerzał – odezwała się do Wawrusia ta sama kobiecina, wtykając mu w garść skibkę chleba ze serem. Dzieciak nie podziękował nawet, rzucił się zgłodniały na jadło. Z podwinętymi pod siebie nogami usiadł na garstce rozrzuconej słomy i zmiatał, aż mu się uszy trzęsły. Gdy zaspokoił pierwszy głód, oczy zaczęły mu się kleić i zasnął, sam nie wiedzący kiedy.

Spał długo, ale niespokojnie; zwidywały mu się straszliwe oczy świętokradcy, to znów chciał przez sen uciekać przed nim, nogi wrastały mu w ziemię, a pielgrzym, doganiając go, już, już sięgał mu karku.

Z krzykiem zerwał się na równe nogi i nieprzytomnym wzrokiem potoczył dokoła. Cały rynek, pełen ludzi, pograżony był w ciszy, wszystko spało, choć świecił już błądy brzask.

Nagle od ratusza doleciało zrazu kilka, potem cały chór zmieszanych głosów. Nad wszystkimi górował bas Mikołaj. W miarę jak się ludzie przy wozach budzili, gwar i zamęt wzmagął się i zbliżał. Coś się stało... Ale co?

Wawruś nie pojmował. Wytrzeszczył zaspane oczy, otworzył szeroko usta, słuchał...

– Ij... głupie gadanie... – mówił ktoś lekceważąco – przecie drzwi na sztabę zasuwane.

– Jak to, gadanie? Wszak sam stróż Mikołaj...

– Śniło się Mikołajowi.

– Krata w oknie przepiłowana! – krzyknął, dobiegając, ktoś trzeci.

– Skądże znowu? Krata gruba.

– Musi piłeczkę zaczął miał przy sobie to i przerznął.

– Ale że to Mikołaj zdolił<sup>156</sup> spać tak twardo...

– Stary człek; zresztą, komu by przez myśl przeszło...

– I tak prędko? – zdziwiła się jakaś kobieta.

– Ano miał ze trzy godziny czasu.

– Pośleli za nim ceklarzy?

– Ciekawość gdzie? W puszcę? Kamień w wodę.

– Rety... jak się burmistrz dowie!

– Ee... płakać nie będzie. Szkody w świętych naczyniach nie ma, dy<sup>157</sup> Mikołajowi głowy nie zetnie.

– Ale psi syn sprawny!

– Wiadomo, z diabłem w znowie.

– Słyszycie, ludzie? Złodziej uciekł w nocy oknem! – zwiastował nowinę kościelny, wlokąc się ślamazarnie na plebanię.

– Ejże? Naprawdę? – ze śmiechem przyjęto jego słowa. – Ale co gorsza, że króla Popiela myszy zjadły!

– Cha, cha, cha, cha!

Wawruś patrzył, słuchał... w głowie mu się zawracało... serce dzwoniło na trwogę, a w uszach brzmiały dwa straszne słowa: „Do widzenia, małučki”.

---

<sup>156</sup> *zdolić* – zdołać, dać radę. [przypis edytorski]

<sup>157</sup> *dy* a. *ady* (daw.) – przecież, ależ. [przypis edytorski]

## U wiłów<sup>158</sup>

Królewna i diabły. – Brzuchomówca. – Pan Prot funduje piwo. – Margosia na linie. – Wawruś do góry nogami. – Koza Beksa i bat Grzegorza. – Czemu „zbyrkała” płachta u wozu.

Wawruś otworzył oczy. – A ja gdzie? – zapytał głośno. W pierwszej chwili jakoś nic a nic nie pamiętał. Że mu jednak wcale nie chodziło o dociekanie prawdy, leżał sobie wyciągnięty na słomie, worek z owsem pod głową, i przypatrywał się. A było bardzo dużo ciekawych rzeczy do widzenia: najpierw, jako porządny gospodarski syn, zauważył trzy doskonale utrzymane konie, chrupiące obrok tuż obok niego, a na ziemi leżała śliczna biała koza, o długiej, krętej wełnie. Dalej w rynku, gdzie wczoraj w nocy widział mnóstwo powyprzęganych wozów, dziś zobaczył dwa szeregi straganów, a o ile mógł dostrzec ze swego kącika, różne cuda rozłożone były na tych straganach. Tuż niedaleko garncarz miał swoje wyroby, dalej koszyków moc niezliczona, obok koszykarza szewc ustawił i rozwiesił kilkadziesiąt par butów, cizem i cizemek w różnych kolorach.

„O raju... a to ci żółte jak słoma w słońcu! – westchnął Wawruś, wpatrując się z zachwytem w parę trzewiczków zawieszonych rzemykami na drążku i chyboczących się w prawo i w lewo. – Zeby tak matusia tu byli, poprosiłbym... oni tacy dobrzy... kupiliby mi te cizemki. Jakie to nosy długie mają, cuję, ze prawiutko byłyby na moją nogę”.

Ziewnął głośno, przewrócił się na prawy bok i przymknął oczy. Po tyłu przygodach należał mu się jeszcze wypoczynek.

– Jego miłość już się zbudził – zaświergotał mu nad głową jakiś cienki głosik.

Popatrzył w górę. Przy olbrzymim wozie, trzy razy przynajmniej większym od innych, grubą płócienną budą krytym, stała śliczna dziewczyna. Wianuszek z jaskrawych kwiatków miała na ciemnych włosach, koszulkę bielušką z krótkimi rękawami, gorsecik zielony jak sama trawa, czymś błyszczącym suto wyszywany, i taką samą strojną, króciutką spódniczkę. Na nogach cizemki żółte.

„Oj, oj... nie będę się rusać, niech mi sie tak śni jak najdłużej... ślicności królówna!”

Dziewczyna wplatała srebrny galonik<sup>159</sup> do warkocza i śmiała się w głos:

– A to ci śpioch dopiero! Ludzie od niepamięci świata już pośniadali, a ten chrapi i chrapi... Nie głodnyś?

– Wolno gadać do jasnej królówny?

– Idźże, głuptasku... takam ja królówna, jako ty królewic. Margoška mi jest i tyła. Matka... ociec! – zawołała, przytykając usta do szpary w budzie – bo ten mały już wstał.

– Przyprowadź go, niech co zje – odezwał się ktoś z głębi wozu.

– No, wstawaj i chodź, bo potem nie będzie czasu myśleć o tobie.

Uchyliła trochę zwisającej płóciennej płachty, weszła po schodkach do wnętrza wozu i pociągnęła chłopca za sobą. Dobrze, że go trzymała za rękę, bo się tak zachnął gwałtownie, że byłby spadł ze schodów na wznak i potłukł się porządnie: O ile Margosia na pewno była królówną, choć się nie chciała przyznać, to znowu te dwie postacie, które ujrzał w tym dziwnym wozie, co był domem, czy w tym domu, co był wozem, musiały przyjść na ziemię prościuteńko z piekła.

W głowie mu się mąciło...

Jedno grube a krótkie, odziane po cudacku, prawy rękaw czerwony, lewy żółty; prawa nogawica sina, lewa biała w czarne koła. Sam kubrak pasiaty jakiś, jakby węże po nim łąziły... ale to wszystko jeszcze nic naprzeciw ohydnej gęby! Ani ściana nie taka biała, jak twarz owego grubasa... po niej plamy, jakby kto palec we krwi umaczał i pacnął tu i owdzie; włosy... albo to włosy? Rude kłaki

---

<sup>158</sup> *wiła* – błazen, komik cyrkowy, kłown, akrobata. [przypis edytorski]

<sup>159</sup> *galonik* – tasiemka, wstążeczka. [przypis edytorski]

obmierzłe. To drugie znowu, co stoi w kącie, czarne jak smoła; gęba i włosy, i całe odzienie. A królewna wcale nie ucieka, tylko się śmieje i gada z nimi po cichu.

„O Matko Święta... dziękuj Ci! Jakasi zwyczajna kobieta stoi przy piecu i z garnka na miseckę strawy ulewa. Ukroiła chleba, odwraca się... ady<sup>160</sup> ja ją wczora w nocy widziałem!”

– Cóż, małučki parobeczku – przemówiła kobieta do Wawrusia – dobrze ci się spało? Zbój się nie przyśnił?

Odważył się o jeden krok postąpić.

– O moiściewy<sup>161</sup>... – szepnął – ulitujcie się nade mną biednym, wyprowadźcie mnie stąd zaraz! Juz ani jeść nie chce, byłem na one diabły nie patrzył.

Choć starał się mówić jak najciszej, Margosia, stojąca tuż, usłyszała ostatnie słowa i rozchichotała się, aż na ławie przysiadła.

– Nie bójże się, nie bój, chi, chi, chi... słyszeliście, tatusiu, co on gada? Myśli, żeście wy diabeł i Froncek też... chi, chi, chi... bo mnie kolki chycą!

A starsza kobieta pogłaskała dziecko, podprowadziła je do piecyka i rzekła głosem łagodnym:

– Jedz, synku, z Panem Jezusem, a niczego się nie bój; ci dwaj w kącie to ludzie, tacy jako i my; ino sztuki będą pokazywać<sup>162</sup> na rynku po sumie<sup>163</sup>, to się musieli przebrać i gęby se usmarowali. Jak się potem umyją, to zobaczysz, że wcale nie straszni.

– Stuki? Na co stuki?

– Takiś duży wyrósł i o wiłach nie słyszałeś? – spytał go długi, czarny diablak.

– Jako życie nie słysałem; ani w Porębie takich nie było.

– Widzisz, jak to dobrze, żeś się do nas dostał, zaraz się czegoś ciekawego dowiedziałeś – dodał starszy.

– E... co mi ta o to, nicegom nie ciekawy, ino kaj<sup>164</sup> Poręba. Tyle ludzi na jarmarku, nie ten, to iny odwiezie mnie do tatusia.

– A jakże, słusznie; ino co masz po ludziach chodzić, nie mogłeś lepiej trafić jak do nas, my właśnie zaraz jutro jedziemy do Poręby.

– Zaraz jutro? Aj dobrze, dobrze! Juz trzeci dzień się błąkam, sam bym nijak nie trafił.

– A widzisz? Ale za to musisz krzywą odsłużyć.

– Juści, ze odsłużyć, byłem ino zdolil<sup>165</sup>.

– Łatwa służba, nie bój się. Przystroję cię bogato, bo takiego brudasza wstydzilibym się ludziom pokazać, i będziesz się kręcił wedle nas, jakobyś i ty sztuki pokazywał. Potem pójdziecie z Margością między naród z miseczkami, a ludzie wam będą rzucać denary<sup>166</sup>.

– Na co denary?

– Na to, abyśmy jutro głodem nie przymierali i konie popaśli. Zjadłeś? Idźże na plac, do studni, i umyj się. Margoś, naciągnij mu wody.

Stary pochylił się do ucha dziewczyny i szepnął:

– A dawaj pozór<sup>167</sup>, coby<sup>168</sup> ci nie umknął.

Mało jeszcze ludzi było przy straganach, wszyscy prawie mieszkańcy miasteczka znajdowali się na nabożeństwie w kościele. Margosia z Wawrzkiem przemknęła pomiędzy wozami, przypilnowała go, żeby się dobrze wyszorował, i czym prędzej wróciła do budy, nie chcąc się przed czasem

---

<sup>160</sup> *ady* a. *dyć* (daw.) – przecież, właśnie, ależ. [przypis edytorski]

<sup>161</sup> *moiściewy* (gw.: moiście wy) – zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy. [przypis edytorski]

<sup>162</sup> *pokazywać* (gw.) – pokazywać. [przypis edytorski]

<sup>163</sup> *suma* – uroczysta msza. [przypis edytorski]

<sup>164</sup> *kaj* (gw.) – gdzie. [przypis edytorski]

<sup>165</sup> *zdolić* – zdołać, dać radę. [przypis edytorski]

<sup>166</sup> *denar* – Najmniejszą monetą za Kazimierza Jagiellończyka był denar, którego 18 sztuk na grosz czeski. [przypis autorski]

<sup>167</sup> *dawać pozór* – uważać, pilnować. [przypis edytorski]

<sup>168</sup> *coby* (gw.) – żeby. [przypis edytorski]

ludziom pokazywać. Ojciec z Fronkiem także korzystali z małego ruchu na rynku; w miejscu wyznaczonym wczoraj przez pisarza miejskiego rozciągnęli wielki kobierzec, z kilku połatanych kilimków pozszywany, w pośrodku ustawili stół na kobylicach, pod stołem rozmaite przybory gimnastyczne i inne potrzebne sprzęty. Matka przywdziała czerwoną chustkę na głowę i świeży fartuch i ledwie pierwszych kilkoro ludzi wyszło z kościoła, dały się słyszeć od strony wozu linoskoczków przeraźliwe jakieś tony, bicie w bęben i odgłos dzwoneczków. Froncek to, stojąc na stole, dał co siły w piszczałkę, matka waliła w bęben, a Wawrzuś, cały w atlasach i złocistych blaszkach, potrząsał z największym zapałem grzechotką obwieszoną dwudziestoma dzwoneczkami.

Kościół opróżnił się już po sumie, a na rynku zaroilo się od ciekawych i kupujących. Tu biegły dzieci po pierniki, od roku z utęsknieniem oczekiwane, tam parobczak wybierał dla swej dziewczuchy pierścionek z oczkiem, starsze kobiety przymierzały krasne chustki, dziewczęta wiązały na szyję paciorki; inne, bogatsze, obstały stragan krawiecki i targowały gorsety lub zapaski, w powietrzu unosiła się woń przysmażanych kiszek, kielbas i flaków; gwar, śmiechy, kłótnie przy targu, a wśród tego wszystkiego kocia muzyka linoskoczków, rzenie koni i naszczekiwanie psów.

– Ludzie, ludzie... chodźcie patrzeć... wiły będą sztuki pokazywać! – zachęcali się młodzi między sobą. Zartowali i drwili jedni z drugich, a jakoś nikt nie chciał przybliżyć się pierwszy do szkaradnie pomalowanych pajaców.

– Chodźże, Jagna, chodź! – zachęcał siostrę kuchcik pana burmistrza – to wszystko ino udanie; jeden posmarował gębę na czarno, drugi na biało, bo taki zwyczaj u nich; ale się bać nie trza, nikomu nic nie zrobią.

– To ino takie błazny głupie – pouczał swych towarzyszy starszy czeladnik ciesielski. – Czasami warto widzieć, jak dokazują. Tak rok, w Mogile byli, ale nie ci sami; zresztą kto ich ta pozna, wiły przejęte.

– A jak nas urzekną? – spytała Marysia organiścianka, zasłaniając oczy różkiem zapaski.

– No, no, byleś ino ty kogo nie urzekła... – rozśmiał się Stach, jeden z ceklarzy, starający się o względy Marysi.

– A ja wam powiadam, że to są czarowniki... – zawyrokowała przyciszonym głosem faryniarka<sup>169</sup> Wajdzina, nabierając drewnianą warzachwią gorących flaków dla jego miłości pana Prota, majstra bednarskiego.

– Ile? Cztery denary? Garnuś flaków na dwa razy do gęby, i zaraz cztery denary? Słyszane rzeczy? Ani tego żywot<sup>170</sup> nie poczuję.

– Kiedyście bednarz, to se kaźcie obręczami żywot ściągnąć, coby poczuł. Niech mnie one<sup>171</sup> wiły sądzą, nie boję się; półkwarcie<sup>172</sup> flaków za cztery denary, jeszcze i z przyczynkiem<sup>173</sup>! Idźcie do Gawlikowej, rada bym uźreć<sup>174</sup>, ile wam da za osiem!

Jegomość pan Prot zamilkł pokonany, wyskrobał miseczkę co do ździebełka, otarł wasy i poszedł patrzeć na kuglarzy<sup>175</sup>. Przykład osoby tak poważnej i poważanej podziałał zachęcająco na innych: pojedynczo i gromadkami zaczęli się ludzie schodzić, wreszcie, tłocząc się głowa przy głowie, stanęli tuż przy scenie, czyli przed rozesłanym kilimem.

– Sławetni mistrze<sup>176</sup> wszelakich cechów, szanowna czeladzi rzemieślnicza... urodziwa młodzieży płci obojga... wasze miłości panowie gospodni z małżonkami! *Gregorius Hipopotamus*, magister sztuk wyzwolonych i karkołomnych, wita was!

<sup>169</sup> *faryniarka* – właścicielka loterii, kramarka. [przypis edytorski]

<sup>170</sup> *żywot* (daw.) – brzuch, żołądek. [przypis edytorski]

<sup>171</sup> *on, onego* (daw.) – te, tego; tu M. Im *one*: te. [przypis edytorski]

<sup>172</sup> *półkwarcie* – ok. 0,5 litra a. półlitrowe naczynie. [przypis edytorski]

<sup>173</sup> *przyczyniek* – dokładka. [przypis edytorski]

<sup>174</sup> *uźreć* (gw.) – zobaczyć; *rada bym uźreć* – chętnie bym zobaczyła. [przypis edytorski]

<sup>175</sup> *kuglarz* – wędrowny aktor, żongler, sztukmistrz. [przypis edytorski]

<sup>176</sup> *mistrze* – dziś popr. forma M. i W. Im: mistrzowie. [przypis edytorski]

Tak rozpoczął przedstawienie stary Grzegorz, głowa rodu linoskoczków. Właściwie nie był on jeszcze starym, tylko ze względu na syna sam się tak przezwiał.

– Zezwólcie, wasze miłości, że dla nabrania sił do pracy, muszę się nieco pokrzepić... nie śniadałem<sup>177</sup> jeszcze.

To mówiąc, wyciągnął zza pasa długi nóż, ostro zakończony, i przechylając w tył głowę, wsadził go sobie do gardła aż po rękojeść.

Szept grozy przeleciał wśród widzów, a magister Gregorius wyjął z ust kordelas, ukłonił się z wdziękiem na trzy strony, pogładził się po żołądku, mlaskając językiem, i podał nóż pierwszemu parobkowi z brzegu do obejrzenia, że jest prawdziwie stalowy i mocno wyostrzony.

– Może kto spróbuje... proszę bardzo... nie? Ha, to ja jeszcze raz łyknę sobie tego kordiału za zdrowie przezacnego zgromadzenia.

I powtórzył sztukę po raz drugi.

– Teraz, gdy się czuję dziwnie wzmocnionym i rześkim, jakby mi dwadzieścia lat ubyło, rad będę okazać sławetnemu zgromadzeniu skuteczność pożywnego śniadania. Hej, Froncek! Przynies no tu antałek piwa spod wiechy<sup>178</sup>... słyszysz?

Czarny diablík poskoczył do najbliższej szynkowni, wrócił dźwigając z wielkim wysiłkiem sporą dębową beczułkę i postawił ją przed ojcem na stole.

– Zanim się wezmę do pracy, miło mi przedstawić waszym miłościom dziecinę płci męskiej, cudownie od urodzenia uzdolnioną. Oto jest *Franciscus bipes nero*<sup>179</sup>! Gdy miał dzień życia, już się zapijał... mlekiem; skończywszy pięć lat, chodził niezgorzej, a w dziesięcich gadał jak stary. Co najwięcej podziwu godne, że tak hojnie obdarzony od natury, wychował się zdrowo i żyje do dnia dzisiejszego. Froncek... pokłoń się państwu, a pięknie!

Chłopak odbił się nogą od ziemi, obrócił się w powietrzu jak fryga, magnął<sup>180</sup> z dziesięć koziołków, po czym wymaszerował na rękach do budy.

Grzegorz ujął baryłkę dwoma palcami za brzeg ponad dnem wystający i kilka razy wywinął nią młyńca.

– Ho, ho! – zawołała jakaś kobieta z tłumu – antałek<sup>181</sup> próżny, niewielka sztuka.

– Ja sam widziałem, że karczmarz próżny dawał! – ze śmiechem krzyknął ktoś drugi.

– Za łaską waszych miłościów – z obrażoną miną rzekł kuglarz – i próżnym antałkiem migać w kółko, trzymając go w dwóch palcach, nie tak łatwo, jak się zdaje; a dopieroż pełnym. Kto mi zaprzecza, jakoby w baryłce piwa nie było?

Majster Prot, opierając się na słowach owego, co widział, że antał próżny, podniósł rękę.

– O zakład!

– Zgoda!

– Kto przegra, ten wiadro piwa zapłaci; ja albo wy.

– Dobrze!

– Dawajcie dzbany i szklanice!

Przyniesiono; Grzegorz odszpuntował i nalawszy do dzbanów, uprzejmie częstował zgromadzenie. Wszyscy pili ze smakiem i śmiali się z pana Prota.

– A... bo czego tamten krzyczał głupstwa, jak nie był swego pewny? I podział się gdzieś abo cicho siedzi, bo go wstyd.

– Cale<sup>182</sup> mi nie wstyd, stoję przy was.

---

<sup>177</sup> *śniadać* (daw.) – jeść śniadanie. [przypis edytorski]

<sup>178</sup> *spod wiechy* – z karczmy, której znakiem rozpoznawczym była wiecha, tj. wiązanka gałęzi lub małe drzewko, przybrane i przybite nad wejściem. [przypis edytorski]

<sup>179</sup> *Franciscus bipes nero* (łac.) – dwunogi czarny Franciszek. [przypis edytorski]

<sup>180</sup> *magnąć* (gw.) – fiknąć. [przypis edytorski]

<sup>181</sup> *antałek* – beczułka. [przypis edytorski]

<sup>182</sup> *cale* (daw.) – wcale, zupełnie. [przypis edytorski]

– Gdzie? Kto?

Majster Prot obejrzał się ze złością, chcąc pomścić wyśmiewiska ludzkie i koszt poniesiony, ale tuż przy nim stało dwoje małych dzieci, trochę dalej Stach z Marysią, zagadani i o bożym świecie nie wiedzący, a z tyłu Damian Jemioła z małżonką, kumotrowie a przyjaciele majstra Prota.

– Ciekawość, gdzie stoi, kiej nikogo nie widzę.

– Wlazłem do waszej kieszeni! – odezwało się coś przyciszonym głosem.

– Czary! Diabli!

– Diabelskie psikusy!... – zaczęto wołać ze strachem; niejeden by rad uciekł, ale w ciżbie trudno się było wycofać.

Aż tu nagle pan pisarz, stojący również w pierwszym rzędzie, uderzył się ręką w czoło i parsknął śmiechem.

– Juści... zaraz czary! Brzuchomówca i tyle! Owa baba, co gadała, i ten drugi, i to, co w kieszeń wlało, wszystko on sam gadał.

Magister Gregorius popatrzał na publiczność z dumą i zadowoleniem i złożył nowy ukłon na trzy strony.

Śmiechu i oklasków było co niemiara. Przywołano Froncka, fikał, brykał jak opętany, toczył się po kobiercu zwinięty w kłęb; ani dopatrzyć, gdzie głowa, a gdzie nogi! Potem Wawrzek podawał mu różnokolorowe piłki, a on ich dziesięć wyrzucał w powietrze, łapał zręcznie i znowu rzucał, żadna z dziesięciu nie spadła ani razu na ziemię.

Na zakończenie uwiązano linę do rynny na piąterku zajazdu „Pod Złotą Gęsią”, przeciągnięto skośnie do rynny na takiej samej wysokości po drugiej stronie placu i naturalnie magister Gregorius uprzedził sławetne zgromadzenie, że córka jego Margarita, dziewczka wdzięczna ku wejrzaniu a cnotliwa, przejdzie po linie z jednego końca na drugi, po czym wróci na powrót, cofając się.

Hucznymi oklaskami przyjęto tę zapowiedź, a on dodał poważnie:

– Raczą wasze miłości nie dziwować się głośno ani biciem rąk okazować swej uciechy, dopokąd się ta arcyniebezpieczna sztuka nie skończy; tu chodzi o życie.

Głos kuglarza drżał trwogą o ukochane dziecko... pobielana twarz wyglądała brzydko i śmiesznie.

Froncek wyprowadził Margosię na kobierzec, ukłoniła się publiczności, szczerząc białe ząbki, po czym pobiegli oboje „Pod Złotą Gęś”. Dziewczyna ukazała się w otwartym oknie, stanęła na wyprężonej linie, z drążkiem w rękach dla utrzymania równowagi, i powoli, sztywna, jakby drewniana, nie patrząc w dół, ale prosto przed siebie, zrobiła parę kroków. Małe nóżki stawiała zręcznie i ostrożnie...

Wawrzus nie rozumiał wcale, co miały znaczyć przygotowania z liną; dopiero gdy zobaczył królową, stającą po sznurze jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią, wrzasnął, jakby go nożem krajano, i puścił się pędem ku zajazdowi, nie wiedział po co, zapewne ratować ją od śmierci. Jakaś twarda ręka chwyciła go za kołnierz, a jeszcze twardszy głos szepnął mu w ucho:

– Stój i milcz, raku przejęty! Jak się będziesz darł, przestraszysz dziewczynę, spadnie i zabije się. Ani mi piśnij, bo cię w szmaty potargam!

Dziecko zatkało buzię rękoma i stało jak martwe, z oczami w Margosię utkwionymi, śledząc każde jej poruszenie. Ojciec grał na piszczalce jakiś marsz dziki, ale bardzo rytmiczny, matka uderzała w bęben, dziewczyna szła po linie jak lunatyczka, stawiając nóżki do taktu, bo w ten sposób łatwiej utrzymywała równowagę. Gdy już stanęła w przeciwnym oknie, usiadła na futrynie i odpoczywała. Była bardzo blada.

Po chwilce stanęła znów na linie, ale odwrócona do niej plecami, i rozpoczęła powrót, cofając się krok za krokiem. Serca patrzących biły na wyścigi z tamburinem matki i piszczalką ojca.

Jeszcze dwa kroki... jeszcze jeden... już wszystko dobrze!

Teraz dopiero zahuczał rynek oklaskami i krzykiem tłumu, aż mury domów echem odpowiadały. Wawruś przykucnął na ziemi i wstrzymywany tak długo strach o królową wyrzucił z siebie głośnym szlochaniem.

– No, wstawaj... masz tu szmatę, otrzyj se ślipie – burknął półgłosem Grzegorz. – Nie mówiłem ci, że będziesz zbierał denary z Margośką? No, rusz się!

Trzeba się było uwijać, zanim publiczność ochłonie z zapału. Margosia cała w pąsach, z uśmiechem, wzięła ze stołu przygotowane już na ten cel talerzyki, jeden dała Wawrzukowi i kazała mu iść za sobą. Widzowie znaleźli się wcale przyzwoicie, mało kto umknął cichaczem, nie rzuciwszy denara. Dziewczyna śpiewała przy tym wesołe ludowe piosenki, to znów przerywała sobie w pół wiersza, by pożartować z jednym, drugim; ładna jej twarzyczka i dowcipne słówka zjednały jej przychylność wszystkich. Na talerzyku rosta góra miedziaków, gdzieś tam przeświecały srebrne pieniążki. Wawruś nadstawiał swoją miseczkę, ale nikt na niego nie zważał; dopiero jakaś litościwa mieszcza użaliła się zaczerwienionych oczu dziecka i rzuciła mu trojaka.

– A czego to płaczesz, mały?

– To mój braciszek, dopraszam się waszej łaski – prędko odpowiedziała Margosia – pewnikiem co przeszkrobał i tatuś mu dali w kark; ale to u nas chleb powszedni, widzicie, już się śmieje.

Istotnie, myśl, że miałby być braciszkiem królowej, wydała się chłopcu tak zabawną, że roztworzył<sup>183</sup> buzię i pokazał wszystkie zęby.

– Sławetne państwo, dorzucicie i dziecku jakich parę miedziaków; dostanie karę, jak z niczym wróci.

Sprzątnięto kuglarskie przybory, deski i kobylice<sup>184</sup> schowano do wozu; Grzegorz i Froncek umyli się, przebrali w suknie codzienne i wyszli pogapić się na jarmark. Poważny, otyły człek w szaraczkowym<sup>185</sup> żupanie<sup>186</sup> wyglądał raczej na handlarza nierogaczyny niż na wileń-pajaca. A z Froncka taki był urodziwy parobeczek, aż coś dziewczętom oczy ku niemu ciągnęło; ani gadania, żeby to był ten sam, co kozły magał i czarnego diabła udawał. On też umyślnie tak się smolił i szpecił, żeby go później nie poznawano.

– Dobrze matka zrobiła, że dziecko przyprowadziła wczoraj spać przy naszym wozie – rzekł stary do syna – tyś już za duży, koza cię nie udźwignie, a takie małe ino przyuczyć, będzie fikało aż hej.

– Matka nie zgodzą się – odpowiedział syn – dy mówili dziś rano, że trzeba dziecko odprowadzić na plebanie, to go proboszcz odeśle do domu.

– Juści proboszcz tyle wie, co i my, gdzie go odeśle? Pogadam z matką na wyrozumienie. Abo to chłopcu krzywda u nas będzie? Poje se po uszy, a zechce, to i wyżej uszu, nie narobi się, ino tyle, co naukę odprawi z godzinę co dzień.

– Aha, i co baty brać będzie – rozśmiał się Froncek.

– Bez bata nic – rzekł ojciec sentencjonalnie – i tyś brał bicie do krwi nieraz.

– Oj, brałem, brałem!

– No i co? Kości masz całe, wyrosłeś jak chabina, sztuki pięknie pokazujesz, krzywda ci?

– Żadna dziewczucha wiły za męża nie zechce.

– Głupiś... a matka mnie zechciała? Zresztą, co tu gadać, poźryj<sup>187</sup> ino, czy aby jedna przejdzie, co by się nie ośmiała<sup>188</sup> do ciebie. Każde rzemiosło dobre, byle chleb dało. Tedy wyjedziemy stąd

<sup>183</sup> *roztworzyć* (daw.) – otworzyć. [przypis edytorski]

<sup>184</sup> *kobylice* – drewniane podpórki. [przypis edytorski]

<sup>185</sup> *szaraczkowy* – z taniego, szarego płótna, nie bielony i nie farbowany. [przypis edytorski]

<sup>186</sup> *żupan* – starop. ubiór męski, długi obcisły płaszcz zapinany na guziki, ze stojącym kołnierzem i wąskimi rękawami. [przypis edytorski]

<sup>187</sup> *poźreć* (gw.) – spojrzeć. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *ośmiać się* – uśmiechnąć się. [przypis edytorski]

dziś na noc, jutro popas w Księżej Wólce, a pojutrze przedstawienie w Miechowie, bo tam właśnie przypada kiermasz. Trzeba chłopca przez jutro poduczyć, co by choć na rękach pobiegał. Dasz rady?

– Jak będzie chętny, czemu nie; chodzić na rękachcale nie sztuka.

– Pogadaj z nim mądre słowo; postrasż go mną, to usłucha.

Jak stary Grzegorz zarządził, tak uczyniono: przed samą nocą wyjechali z miasteczka, matka z trojgiem młodych w budzie, ojciec na koźle, biała koza na postronku za wozem. Wczesnym rankiem dotarli do ślicznej polanki w lesie; Grzegorz wyprzągł konie, rozpalono ognisko, Margosia przyniosła wody z rzeczki, matka gotowała śniadanie, a Froncek zakrzętnął się około Wawrusia i pierwszej lekcji gimnastyki. Małec wręcz odpowiedział, że nie będzie chodził na rękach, boby się ludzie w Porębie z niego wyśmiali, gdyby odmiennie chodził niż inni.

– Ja ci też nie kazuję od rana do nocy do góry nogami uganiać, ino cię muszę nauczyć; tatuś tak przykazali.

– Na co?

– Co ci ta o to<sup>189</sup>; kazali i dość. No, szkoda czasu.

Wziął go wpół za krawkę jedną ręką, obie nóżki w drugą i zaczęła się lekcja.

– Nie chce... nie bede... cego mnie męcys! – wrzeszczał Wawruś.

Aż tu Grzegorz przyskoczył z batem.

– A w skórę chcesz? Darmozjadzie jeden! – I zaciął go po gołych nóżkach, aż czerwone pręgi wystąpiły. – Masz robić, co ci każą, a nie, to baty.

I Wawruś robił, co mu kazano, byle nie brać batów. Zgrabniutki, drobny, lekki, tego samego rana zgłębił tajemnicze prawidła równowagi, aż się Grzegorz zdumiał, jakie dziecko pojętne. Biegał na rękach tak swobodnie, jak niejeden i na nogach lepiej nie potrafi. Przy obiedzie dostał pochwałę i kilka słów zachęty do dalszej pracy.

– Kiej ja wolę do Poręby. Gadaliście, co mnie zawieziecie do tatusia.

– Jakie też to głupie dziecko, to strach – odparł Grzegorz, niosąc łyżkę do ust – nie widzisz to, że prościuteńko do Poręby jedziemy?

Roześmiali się wszyscy jakimś niemiłym śmiechem, tylko Grzegorzowa ruszyła ramionami niechętnie.

– Prościuteńko? – powtórzył Wawruś, klaszcząc w rączki. – A daleko jescce?

– Ha, będzie ze trzy staje<sup>190</sup> – odpowiedział Froncek poważnie, a stary dorzucił:

– E... chyba ze cztery.

I znowu parsknęli śmiechem.

– A w którą stronę?

– O tam, gdzie te brzózki, zakręca się gościniec i już Poręba jak na dłoni.

Po obiedzie Grzegorz legł odpocząć. Froncek z Margosią poszli szukać grzybów, a Wawruś bawił się z kozą, z którą od pierwszej chwili poznania zawarł serdeczną przyjaźń... Słowa Froncka, że za brzózkami już widać Porębę, brzmiały mu wciąż w uszach; coś go gnało w tę stronę...

„To i cego będę cekał, może długo jescce będą popasać – myślał – a kiedy to tak blisko, to chyba trafię”. – Podszedł do Grzegorzowej i pocałował ją w rękę.

– A czego chcesz, synku?

– Przysedłem was pożegnać, ide do domu. Bóg zapłać za wsytko.

– Co też ty gadasz, dziecko? Co ci się zwiduje? Nie trafisz.

– Gadali, że blisko; juz mi ta nie brońcie, muse iść.

Rzucił się jednym skokiem i gnał jak szalony ku brzózkom; bała się krzyczeć, żeby męża nie zbudzić, biegnąc nie miała siły...

---

<sup>189</sup> co ci ta o to (gw.) – po co masz wiedzieć, nie pytaj. [przypis edytorski]

<sup>190</sup> staja a. staje – jednostka odległości, licząca od ok. 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

„Ha, wola boska, niech dziecko umyka – pomyślała – trafi na dobrych ludzi, może go lepszy los czeka niż biedowanie z nami”.

Nieszczęściem dla Wawrzusia, droga zakręcająca się za brzoškami nie tylko że nie prowadziła do Poręby, ale co gorsza, była drogą do Miechowa, gdzie właśnie zdążali kuglarze.

Z początku leciał jak na skrzydłach, a ciągle wypatrywał oczy, gdzie ta Poręba, co miała być widna jak na dłoni. Wiele drogi nie uszedł, już musiał zwolnić kroku, a po godzinie siadł pod dziką gruszą przy drodze, odpocząć chwileczkę. Słońce przypiekało, nogi trochę bolały, wyciągnął się w cieniu i usnął.

Zbudził go ból piekący jak ogień... zerwał się na równe nogi... Stary Grzegorz stał nad nim czerwony ze złości i prał batem gęsto a ostro.

– Będziesz uciekać? Będziesz? Będziesz? Będziesz?

– Ja nie uciekał, ino szedł do domu, do tatusia!

– Masz za tatusia! Masz za Porębę! Masz!

Za każdym słowem padał powiązany w węzły powrózek na zgrzebną koszulinę, dziecko związało się, kurczyło, drgało...

– O Jezu... nie będę... nigdy nie będę! – zakrzyczał rozdzierającym głosem.

– Pamiętaj sobie! Jeszcze jeden raz spróbujesz, to cię tak wytlukę, że krwią spłyniesz, łotrowskie nasienie! No, zbieraj nogi, do budy!

Od następnego rana rozpoczął Wawruś służbę u linoskoczków, ciężkie terminowanie. Musiał chodzić na rękach, magać kozły na odległość i w miejscu, skakać przez drążek wysoko nastawiony, a gdy już nabral wielkiej wprawy w tym wszystkim, Margosia uczyła go chodzić na linie rozciągniętej tuż ponad ziemią. Rozpinano ją co dzień o pół stopy wyżej, a nauczycielka tłumaczyła bardzo łagodnie, głaskała i całowała, gdy się dobrze udało, a nigdy nie biła. Zrozumiał, że nie trzeba patrzeć na dół, bo się w głowie zawraca, rozumiał, że stawiając lewą nogę, trzeba się przechylić odrobinę w lewo i nawzajem. Ale bardzo często jeszcze spadał z liny, więc o popisaniu się tą sztuką nie mogło być mowy. Za to biała koza miała się z pyszna. Przed trzema laty, gdy Froncek był mały co większy od Wawrzusia, a koza ledwie wychodziła z dzieciństwa, wytresowano ją do pewnych ćwiczeń. Kózka myślała, że to figle, i chętnie dokazywała z Fronkiem. Ale dawno już swych sztuk zapomniała i trzeba ją było uczyć na nowo. To jedno było dobre, że nie wiedząc jeszcze, co go czeka, Wawruś dzielił się z kozą swoim chlebem, odkradał Grzegorzowej szczypteczki soli i tymi frykasami kupił sobie miłość Beksy na wieki. Gdy więc przyszło, rozpedziwszy się, chwycić kozę za rogi, przewrócić w powietrzu koziołka i stanąć jej równymi nogami na grzbiecie, Beksa nie sprzeciwiała się zbyt woli swego przyjaciela, zwłaszcza że wspomnienia młodości budziły się w jej pamięci, nastawiała rogaty łeb jak do walki i stała jak wryta, co było ułatwieniem dla Wawrzusia.

Zdarzyło się już kilka razy, że na przedstawieniach, jakie wędrowni kuglarze dawali po miasteczkach, koza i Wawruś podobali się najbardziej. Dzieciak nie wyglądał na swoje lata, drobnutki był i smukły, dlatego też sprawiało na publiczności wielkie wrażenie, gdy taka kruszyna wyskakiwała jak pchła z ziemi na głowę i grzbiet kozy.

Stary Grzegorz wieszował sobie nabytku; chłopiec go prawie nic nie kosztował, a przyczyniał się wiele do pomnożenia zarobku. Dodzierał<sup>191</sup> aksamitów i świcidel, z których Froncek wyrósł, jadł jak myszka, a pracował nie mniej od starszych.

Tylko że ciągle tęsknił za Porębą i choć przy Grzegorz głośno o tym nie mówił, stary niejedną raz dosłyszał, jak przed Margosią wylewał swe żale. Pilnowali go też wszyscy jak oka w głowie, prócz matki, bo ta od samego początku litowała się nad dzieckiem i ciągle tylko przemyśliwała, jakby to oddać Wawrzusia rodzicom, a przynajmniej powierzyć jakiemu dobremu człowiekowi, żeby go na uczciwego rzemieślnika wykierował.

---

<sup>191</sup> dodzierać – nosić zużyte ubrania. [przypis edytorski]

W nieustannej tułaczce z jednego kąta kraju w drugi wiły trzymali się zwyczaj, że w nocy odbywali drogę, wypoczywali nad ranem, a w dzień dawali przedstawienia. Jeżeli po drodze trafiło się miasteczko, tym lepiej, a nie, to i po wsiach pokazywali swe sztuki, bodaj za bochenek chleba albo wiązkę siana dla koni. W ten sposób opłacali sobie koszt wędrowki i snuli się z północy na południe, ze wschodu na zachód. Nierzadko spotykały się dwie lub trzy rodziny linoskoczków; jedni powiadamiali drugich, gdzie warto się zatrzymać i jakim traktem jechać najbezpieczniej, po czym każda buda ruszała w swoją stronę.

Wawruś, nauczony smutnym doświadczeniem, że ucieczka nie jest rzeczą zbyt łatwą, a bat Grzegorza jest rzeczą okropną, pogodził się pozornie z losem i coraz to wspanialsze salto mortale<sup>192</sup> urządził tak z kozą, jak i bez kozy. Ale w nocy, gdy wszyscy w budzie spali twardo, a wóz posuwał się powoli po wybojach i kałużach, ach, wtedy jak ptaszek więziony, co się w klatce trzepoce i skrzydełka sobie o szczeble obija, tak biedny malec spłakiwał się gorzko i snuł dziwaczne plany oswobodzenia.

Pewnej pochmurnej nocy, gdy wóz toczył się powoli leśną dróżką, co chwila potykając się o grube korzenie lub zapadając w błoto po osie, Grzegorzowa, która w dusznym gorącu zamkniętej budy usnąć nie mogła, usłyszała ciche szlochanie Wawrusia.

– Cóż ci to, małućki? – spytała ostrożnie, by nikogo nie zbudzić, przyciągając sienniczek z dzieckiem ku sobie.

– Nic, biednym jest<sup>193</sup> – odpowiedział.

– Czego biedny? Boli co? – i pogłaskała go po głowie.

Wiedział, że matce można się przyznać do wszystkiego; ileż to razy słyszał, jak nastawała na męża, by chłopca oddał do jakiego dworu po drodze albo do rzemiosła. Wiedział, że go nie zdradzi, bo zawsze była dobra dla niego. Więc ją objął za szyję i najcichszym szeptem wyjąkał:

– Chcę do matusi, do Poręby.

„Robaczkiem się opiekuję. Polnej trawki pilnuje...” – przypomniła się Grzegorzowej pieśń o Boskiej Opatrzności. „Ha, może to wola Pana Jezusa – pomyślała – niech dziecko idzie, gdzie je oczy poniosą, lepszej sposobności jak dziś nie będzie”.

– A nie boisz się czarnej nocy?

– Juz niedźwiedź i dzik wedle mnie przełaził, juzem wilkowe ślepie w nocy widział, a nic mi się nie stało... nie boję się nicego, ino coby mnie majster nie przyłapili.

– Słuchajże; wraź se tę ćwiartkę chleba, co leży na skrzyni, za pazuchę; zmacałeś?

– Juz.

– A teraz pełzaj powoli ku schodkom... płachtę odepnij... cicho... któreś się rusza.

Zatrzymali oddech, czekali, Froncek znów zaczął chrapać, Margosia mruczała coś przez sen.

– Możesz iść śmiało, śpij twardo; a nie przewróć tam czego.

– Bóg zapłać; nie pocałujecie mnie na drogę?

Uściskali się.

Coś zaszeleściło pomiędzy skrzyniami i tłumokami, trochę świeżego powietrza wpadło do wnętrza przez odpiętą płachtę i więcej nic.

Dzięki codziennym ćwiczeniom gimnastycznym skok z jadącego wozu zabawką był dla Wawrusia, zwłaszcza że konie, drzemiąc, stapały noga za nogą; Grzegorz dla odpędzenia snu szeptał godzinki.

– Pocekaj, teraz ja mądry, juz mnie drugi raz nie złapiesz – szepnęła, grożąc ściśniętą w kułak rączką niewidzialnemu tyranowi. – Ciemno jak w kominie, schowam się w krzaki, a ty mnie sukaj, póki ci sie nie sprzykrzy.

Dał susa w las.

<sup>192</sup> *salto mortale* (wł.: skok śmierci) – skok akrobatyczny z koziołkowaniem na dużej wysokości. [przypis edytorski]

<sup>193</sup> *biednym jest* (gw.) – jestem biedny. [przypis edytorski]

„Nie... po krzakah przysiadł nie będę; zaświecą ze dwie latarnie i gotowi mnie wypatrzeć; albo zwierz będzie przechodził, to mnie zje. Wylezę na drzewo”.

Ze zwinnością kota czepił się palcami grubej, popękanej kory, nogi pomagały rękóm, w minutę już siedział na gałęzi. Pomacał z tej i z owej strony, przekonał się, gdzie drzewo ma najgęściej splecione konary, i ostrożnie, by głową nie uderzyć o gałąź, wspinał się wyżej.

„O, tu mi będzie w sam raz; tu se ranka docekam”.

Odpięta z gwoździa płachta przymykająca wóz linoskoków fruwała, poruszana lekkim wiatrem, i szeleściła, bijąc o półkoszki<sup>194</sup>. Baczne na każdy odgłos ucho Grzegorza posłyszało ten szmer...

– Cóż się ta dzieje? – mruknął. – Złamało się co czy oberwało, że tak zbyrka?

Zatrzymał konie i zsiadł z kozła.

– Hej... któreż tam płachtę odpięło?

– Czego chcecie? – odezwał się z głębi zaspany głos Froncka.

– Gadam, po co płachtę odpinacie. Jeszcze się który tłumok zesunie i wyleci.

– Anim się ruszał, śpię od wieczora na jednym boku.

– Może Margośka albo matka?

Margosia odpowiedziała chrapaniem, a matka udawała, że śpi.

– Ojoj... tatusiu...

– No co?

– Siennik pusty, chłopaka nie ma!

Grzegorz syknął przez ściśnięte zęby jakąś kłutwą w tysiące tysięcy, ale nie tracąc czasu na próżne słowa, natychmiast skrzesał ognia, zaświecił latarnię i Fronckowi kazał zrobić to samo.

– Chodźmy szukać – rzekł – ty patrz z lewej strony, ja z prawej; nie musiał ubiec daleko; ani trzech pacierzy nie ma, jak szelest posłyszałem.

Puścili się wzdłuż drogi, licząc, że dziecko dogonią. Gdy ubiegli spory kawał, dopiero im na myśl przyszło, że się mógł schować gdzie bliżej w gęstwinie. Więc wracali już powolutku, przyświecając krok za krokiem, krzak za krzakiem, jednej kępki paproci nie opuścili; przystawali, nad słuchiwali – nic.

– Przywiąż no latarnię do żerdki, poświecisz wyżej między drzewa, może się gdzie na które wydrapał.

– O Jezu! – szepnęło dziecko – prosto na moją sosnę świeci... musi mnie uwidzieć... białą kosulę znać między gałęziami...

– Cóż się tak zapatrzył w jedno miejsce?

– Zobaczcie sami, coś szarzeje na samej górze...

– Gdzie, gdzie? Nie widzę...

Załomotały skrzydła, wystraszony puchacz spuścił się z wierzchołka sąsiedniego drzewa i ciężkim lotem, uciekając od światła, uderzył sobą silnie w twarz Grzegorza. Stary się zachwiał, wyciągnął przed siebie ręce i czepił się Froncka za ramię, a ten zaskoczony zniemacka puścił drążek, latarnia upadła i zgasła.

– Dalibyście spokój szukaniu – odezwała się matka z wozu – chłopak uciekł jeszcze przed północą, a wy go tutaj upatrujecie.

– Taaak? Toś wiedziała, a nie krzyknęłaś na którego z nas?

– Właśnie, żem nie wiedziała o niczym, ino we śnie mi się majaczyło, że się ktoś wedle mnie przesuwa, nawet mnie w rękę pocałował. Nijak się ocknąć ani oczu otworzyć nie mogłam. To jedno wiem z pewnością, że więcej niż dwie godziny, jak zemknął. Tedy nie bądźcie głupi i nie szukajcie wiatru w polu.

Naklęli obaj co się wlaźło i powrócili do wozu.

<sup>194</sup> półkoszki (daw.) – burty wozu, plecione z wikliny. [przypis edytorski]

## Konik zwirzyniecki

Wesele w Pisarach. – Szedł do Poręby, zaszedł do Krakowa. – Tatar na drewnianym koniu. – Znowu pielgrzym. – Dlaczego św. Wojciech ma dwie głowy?  
– Ojciec Szymon.

Bór się zaczął ożywiać... rozbudzone ptactwo napełniało powietrze wesołym świergotaniem... poprzez wierzchołki drzew niebo się zaróżowiło na wschodzie.

Wawrzus zmówił pacierz, uskubnął chleba z darowanej przez pocziwą Grzegorzową ćwiartki i obliczał w duchu, czy można już zleźć z drzewa bez obawy.

„Ee... chyba mnie już gonić nie będą... pojechali przed siebie, to ja się obrócę z powrotem. Pójdę lasem, ale już ino<sup>195</sup> samym krajem, cobym<sup>196</sup> drogi z oczu nie stracił. Dy<sup>197</sup> mi już ani pusca nie dziwną; cego bym się miał bać?”

Rozpoczęła się nowa wędrówka, z tą różnicą, że już dziś Wawrzus zmadrał o wiele, uważał się za bywalca, bogatego w wielorakie doświadczenie; czuł, że się już lada kogo nie złąknie ani też nie uwierzy pierwszemu lepszemu, co by go chciał do rodziców odprowadzić. Szedł śmiało, głodu się nie bał, okolica była ludna, gościniec uczęszczany, wszystko wcale inaczej niż przed paru tygodniami w puszczy.

Około południa zaszedł do jakiejś wsi i przybliżył się do pierwszej chałupy, gdzie zobaczył drzwi otwarte i całą rodzinę obiadującą w sieni. Stał opodal, ale tak, by go dostrzeżono.

– Cóż to za dziecko? – spytał gospodarz.

– Widzi mi się Bartków Pietrek ze Szydła.

– Ale gdzie... zabaczyliście, matusiu, co Pietrek na nóżkę słaby, a ten prościuśki jak świeczka – zawołało któreś z dzieci.

– Najlepiej zapytaj, kiejs ciekawy.

– Hej, chłopak, czego tu chcesz?

– Wody mi dajcie, strasznie mi się pić chce – odpowiedział Wawrzus, całując gospodynię w rękę.

– A jeść nie? – spytała, ujęta pokornym zachowaniem się dziecka.

– Bóg zapłać, mam jesce kawał chleba, co mi Grzegorzowa dali.

– No, sam chleb to prawie na Wielki Piątek; zjedźże krupniku razem z nami, na zdrowie ci.

Baba podała mu łyżkę, siadł na progu przy jej córeczce i nabrał z miski krupniku uczciwie omaszczonego wędzonką.

– A cóż to za jedna ta Grzegorzowa, co ci dała chleb? – spytał gospodarz.

Wawrzus nastraszył się. Jak się przyzna, gotowi go wiłom<sup>198</sup> oddać, stary zabije na śmierć...

– To moja chrzestna matka; byłem u niej dwa tygodnie.

– A teraz gdzie?

– Wracam do domu, do Poręby.

– Każ<sup>199</sup> ta Poręba? daleko? Może aż pod Krakowem?

– Juści ze ta – odrzekł Wawrzus, rad, że mu się odpowiedź tak sama nasunęła. Nie wiedział, co znaczy Kraków, tego wyrazu, jako żył, jeszcze nie słyszał.

– Takiś malučki, jeszcze pobłądzisz?

---

<sup>195</sup> *ino* (gw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>196</sup> *coby* (gw.) – żeby. [przypis edytorski]

<sup>197</sup> *dy* (daw.) – przecież. [przypis edytorski]

<sup>198</sup> *wiła* – błazen, komik cyrkowy, kłown, akrobata. [przypis edytorski]

<sup>199</sup> *każ* (gw.) – gdzież. [przypis edytorski]

– Nijak nie pobładzę; znam drogę, bom już nieraz do chrzestnej matki chodził. – „E... lepiej umykać dalej – pomyślał – jak zacną rozpytywać, jesce sie z cym wygadam i będzie bieda”.

Wstał, podziękował chłopu i babie, pochwalił Pana Jezusa – i za drzwi.

– Czekał no, dziecko, czekaj, straszne dale do tej Poręby... ani jutro na południe nie zajdziesz; a jakbyś na nielitościwych trafił, naści sera i szperki<sup>200</sup> w szmateczce; opędzisz głód, zanim do matusi zajdziesz. A może ty nie masz matusi?

– Oj mam! A dobra... taka jak wy, a może jesce lepsa.

Poszedł.

„Ano, tylem się dowiedział, co Poręba daleko, aze pod jakimsi Krakowem, i nie zajdę, az pojutro z południa. Dobrze i to; nie będzie mi się snęło iść, kiej wiem pokąd. A ten Kraków, to może dąb jaki stary abo góra wielka; ale ze o nim w domu nikady<sup>201</sup> nie gadali?... Ino cy dobrze idę? Tyle ścieżków<sup>202</sup> na wsyćkie strony, a gościniec tez się często dzieli. A nuz pobałamucę? Ludzi pytać – źle, nie pytać – jesce gorzej”.

Idzie, idzie, ku zachodowi instynktownie się zwraca, bo wciąż pamięta, że w Porębie słońce do boru i do rzeki zaglądało przed zachodem. Że wschodząc, świeciło ku rzece z drugiej strony, a w południe przeglądało się w wodzie z góry, o tym nie myśli; ku zachodowi dąży. Popasał już ze dwa razy i przespał się z godzinkę, z daleka wieś dostrzega.

„Ot, znowu trza iść między ludzi. Wiecór zapada, może pozwoli kto przespać się kaj na słomie”.

Wszedł w długą, prostą ulicę, po lewej stronie domy drewniane, strzechą kryte, gdzieniegdzie chałupy z chrustu gliną grubo obrzucone; po prawej same stodoły i stajnie.

– Jak się ta wieś nazywa? – spytał chłopca pędzącego gęsi do domu.

– Pisary – odpowiedział pastuszek, machnął prętem i zaśpiewał znaną do dnia dzisiejszego w okolicach Krakowa gęsią pobudkę: „O lala haaa! O lala haaa!”

„Pisary... cóż po nich... ano, trza się kaj zaprosić na noc. Cosi gra... muzyka hucna... o matko... a może to oni?”

Wsunął się do jakiejś nie domkniętej stodoły, przycupnął za drzwiami, strasznie się boi, że wiły skądś wyleżą, porwą go i zabiją.

Ściemniło się zupełnie, już by się dawno powinno skończyć przedstawienie, a tu coś gra, gra ciągle. Słychać buczenie grube i pisk niby trąbki; pierwszy strach przeminał, Wawruś przysłuchuje się muzyce.

„E... głupi ja, głupi... ady to inse granie, nie nase!”

Noc ciemniusieńka, tak jak wczoraj, można śmiało wyjść z kryjówki, nikt się nie zadziwi, że jakieś dziecko idzie przez wieś. Tedy wyszedł ze stodoły i za słuchem się kieruje ku onemu graniu... Zobaczył chałupę dużą, wesoło ogniem na kominie i kilkoma kagankami oświetloną; z okien bucha światło na równe, duże podwórko... dwóch kobziarzy<sup>203</sup> siedzi na przyzbie<sup>204</sup> i skoczno przygrywiają, a parobcy i dziewczki kręcą się, oberka wywijają, do taktu sobie przytupują, a coraz to któraś para staje przed muzyką; chłopak czapki z fantazją poprawia i śpiewa...

Wawruś oparł się o płot, pręcie<sup>205</sup> rączkami rozsunał, patrzy i słucha.

Hanuś moja, Hanuś, cego mnie ty nie chcesz?

Ja ciebie tak lubię, a ty z Jaśkiem sepces!

<sup>200</sup> *szperka* – słonina. [przypis edytorski]

<sup>201</sup> *nikady* (gw.) – nigdy. [przypis edytorski]

<sup>202</sup> *ścieżków* (gw.) – dziś popr. forma D. lm: ścieżek. [przypis edytorski]

<sup>203</sup> *kobziarz* – muzyk grający na kobzie, tj. instrumencie strunowym, podobnym do lutni a. gitary. [przypis edytorski]

<sup>204</sup> *przyzba* – wał ziemi, usypany wokół podmurówki chałupy. [przypis edytorski]

<sup>205</sup> *pręcie* – patyczki, z których upleciony był płot. [przypis edytorski]

Przybiega druga para.

Świeci miesiąc, świeci, gwiazdy pomagają.  
Kaj się nie obróć, dziewczki mnie kochają!

A dziewczyna wykrzywiła się szyderczo, rzuca pół grosza muzykantom i odśpiewuje:

Zeniłby się z kozdą, żadna ci nie rada!  
Kochają, kochają, jako i psi dziada...

Znowu przylatuje para, znowu śpiewki, śmiechy, dogryzki... Po drugiej stronie chałupy, na wysokiej przyzbie siedzą gospodynie i gwarzą. Stół zastawiony przed nimi, a z izby wybiega to matka, to która z dziewcząt, wynosząc olbrzymie michy z pokrajaną w kawały kiełbasą, tłustą pieczoną wieprzowiną, to znów ser na sicie i żytni placek do niego; siwy kmieć zaprasza gospodarzy do stołu, wynoszą z zimnej komory dzbany z piwem i gąsiorki z miodem. Chłopi jedzą stojąco, bo nie ma się gdzie rozsiadać; ale mniejsza o ławę, jeśli jest co na ząb położyć i czym gardło popłukać.

– Dy to wesele... – szepce Wawrzus za płotem – ta w wysokim wieńcu to panna młoda... a ten z różdżką na capce to młody pan... tak samo jak w Porębie... ach, jak tez kiełbasa wonieje... jaze okropa... zeby dali choć raz ugryznąć... oj Boze...

I jak poprzednio za słuchem, tak teraz idzie za węchem, stanął pod ścianą przy kobziarzach, może go kto spostrzeże; wszak na weselu nie wolno podróznego odpędzić, straszny grzech nie poczęstować.

Wyskoczyła z izby śliczna dziewczucha; wstążki od paciorków fruwały niczym skrzydełka, spódnic na niej ze sześć, a sute... co się ruszy, to szumi i chrupi wedle niej. Wyniosła piwa dzban i mięsa na chlebie kobziarzom, przestali grać, podziękowali pięknie i zabrali się do jedzenia.

Zobaczyła chłopca.

– A to co za gość? – spytała, schylając się do Wawrusia i zaglądając mu w oczy. – Skądżeś ty się wziął u nas? Cudze dziecko, nie pisarskie, prawda. A może ty głodny?

– No – odpowiedział z przejęciem.

To króciuchne, jednozgłoskowe słówko znaczyło przed czterystu laty, zarówno jak dziś w gwarze ludowej, bardzo stanowcze twierdzenie. Dziewczyna zrozumiała od razu, jak bardzo się chce jeść, gdy ktoś powiada „no”. Chwyliła chłopca za rączkę i pociągnęła go za sobą do stołu.

– Kiełbasy dać?

– No.

– I placka?

– No.

– Siądźże se na ziemi w kąciku, cobyś ludziom do tańca nie gawędził i jedz z Panem Jezusem.

– Cie wy... cie wy... a to ci chłoposko<sup>206</sup> wielgośne<sup>207</sup>! – rozśmiał się jeden z družbów. – Markociliśmy<sup>208</sup> się, co starosta zachorzał<sup>209</sup>, patrzajcie, ludzie, jakoż wam się zda, może ten będzie dobry?

Wziął Wawrusia na rękę, obnosił i pokazywał wszystkim, a gospodarze się śmiali, głaskali dziecko po buzi i niemal każdy się dziwił, skąd się maleństwo wzięło.

– E... co mi to za starosta, co do nikogo nie przypija! Hej, kumotrze, za zdrowie wasze!

Ktoś nalał miodu kubeczek.

---

<sup>206</sup> *chłoposko* (gw.) – chłopisko, chłopaczysko. [przypis edytorski]

<sup>207</sup> *chłoposko wielgośne* (gw.) – wielki chłop. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> *markocić się* (gw.) – martwić się. [przypis edytorski]

<sup>209</sup> *zachorzeć* (gw.) – zachorować. [przypis edytorski]

– Pij, pij, to dobre, słodkie...

Wypił, zasmakowało, dali jeszcze, wypił i drugi kubek.

Drużba go spuścił z rąk, bo mu pilno było do tańca; kobziarze już zaczęli buczeć. Ale dziewczęta się wymawiały, że zmęczone i głodne, że muszą jeszcze przekąsić.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.